DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 25 maja 1952 r. — Nr 21 (339)

W NUMERZE m. in.:

R. H. MICHALSKI—Prawo naturalne a chrześcijańska doktryna społeczna

K. ŁUBIEŃSKI — Z pobytu w kraju wielkiego przemysłu

B. MARSHALL — Sutanna nie czyni jeszcze księdza

A. TONCHU RU — Twórca rosyjskiej prozy realistycznej

H. KRAJEWSKA — W sprawie doboru w małżeństwie

L. PROROK — Na drogach teatru ochotniczego

Zygmunt LICHNIAK

W kręgu światła

WRACAŁEM z meczu CWKS-u z Włókniarzem łódzkim.

Tej niedzieli Aleje Ujazdowskie rozkwieciły się bujniejszą niż w latach poprzednich wiosną. Na rabatach kiosków, wystawionych z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy wykwitły setki nowych tytułów, przybyło kolorów, flora księgarniana zafalowała gamą żywych barw, wśród czerwoności, bieli i radosnej pstrokaciny okładek nie zabrakło nawet soczystej zieleni.

W strumieniu przechodniów taszczących pod pachami Szołochowa i Kraszewskiego, Mickiewicza i Annę Seghers, w tłoku hazardowiczów oddających się wysublimowanej pasji „próbowania szczęścia", które przynieść mogło los loteryjny pozwalający za jedną złotówkę nabyć trzy tomy „Popiołów", wśród pechowców, którzy wyciągali tylko puste kartki — migały twarze dalszych i bliższych znajomych.

Nagle — zbliżenie. Nie filmowe. Autentyczne. Jakaś twarz mruga porozumiewawczo jednym okiem. Wraz z twarzą zbliża się reszta, stanowiąca w sumie jednego ze znanych reporterów. Znany jest z kilku ciekawych książek i słabości lub choroby zwanej notoryczną entuzjastazis. I teraz zamiast przywitania wybucha eksplozjami krótkich zdań. Jest właściwie jednym wielkim wykrzyknikiem. W gwałtownym skrócie objawia mi swoją radość.

Fantastyczne. Rok temu był w terenie. Reportaż o walce z analfabetyzmem. Spotkanie z chłopami. Fantastyczne! Jeden z nich — cudowny typ. Świetnie mówił. Że ten kto chce zrozumieć znaczenie umiejętności czytania dla analfabety, który tej umiejętności dawniej nie posiadał, powinien przez tydzień chodzić z zawiązanymi oczyma. Potem zdjąć opaskę. Świat olśni go swoją głębią, wielkością, bogactwem. Człowiek stanie się szerszy o cały świat. Podobnie z analfabetą, który poznał mowę czarnych znaków literowych. Fantastyczne. Ten chłop mówił to może mniej literacko, ale — tak. Nazywał się Marcin Wasiak. Spod Radomia. A dzisiaj kupował w Alejach Ujazdowskich „Wojnę i pokój". Był z wycieczką. Fantastyczne. Co za spotkanie. Symbol. Fakt. Temat.

Mój znajomy macha rękami. Dzisiaj jego entuzjastazis staje się zaraźliwa. Wykrzyknik ma rację. Jest na miejscu w tym kolorowym zdaniu Alei Ujazdowskich. Chciałem z nim pogadać, ale zobaczył kogoś i jak oparzony uskoczył w bok.

Znowu — zbliżenie. Nowy znajomy. Wyszedł nie z przedostatniej strony „Przekroju", lecz z ulicy Pięknej. Nie nazywa się August. Ale jest bęcwalski. Spotkałem go kiedyś na budowie trasy W—Z. Krzywił się wtedy na nieporządki: piachu, panie nawieźli, rozbabrali... Teraz — też. Głos mu tylko jakoś zmatowiał i wyblakł.

— Niech pan popatrzy. Ile śmieci na ulicy. Co za Naród.

Patrzę. Rzeczywiście. Ulica zaśmiecona. Podarte losy loteryjne. Jakiś plakat, strzęp gazety.

— Widzi pan? Śmietnik z miasta robią.

Popatrzyłem w oczy znajomemu. Strzęp człowieka. Zmięty plakat przedwojenny. Zdezaktualizowany los na loterię gdzie są już tylko losy przegrane. Marcin Wasiak nauczył się czytać. Ten nie nauczył się niczego. Z tytułu książki Tołstoja kupionej przez chłopa spod Radomia czytelne dla niego jest tylko pierwsze słowo. Drugie — to propaganda. Taka tam, panie, ta „ich" literatura.

Machnął ręką, jakby usiłował przekreślić korowód księgarnianych kiosków. Skręcił w bok. Przekreślił go cień zieleniejącego drzewa.

Szedłem w słonecznym świetle. Mania cytatologiczna czy też skłonność do literackich skojarzeń wydobyła z pamięci szept weimarskiego olimpijczyka. Mehr Licht — więcej światła. To nie ważne, że słowa te w ocienionej komnacie tajnego radcy dworu miały inny sens. To nie ważne, że podobno nie były ostatnimi słowami umierającego w marcowe południe sto dwadzieścia lat temu wielkiego poety. Może ma rację Geiger, że Goethe w ostatnich słowach zwracał się do młodziutkiej kuzynki Otilly, by w stygnącą dłoń starca złożyła ciepłą rączkę dziecka. Niech się o to spierają przyczynkarze. Ważne jest, że światła coraz więcej, że słowa tamte ożywają tutaj patetyczną treścią postulatów realizowanych, że wielki trud przemiany daje Wasiakom nieznaną dawniej radość uczestniczenia w bogactwie tego świata, który współtworzył wielki obywatel Weimaru.

NOWY WYMIAR KULTURY

OBSERWUJĄC trud tej przemiany i uczestnicząc w niej na miarę naszych sił, musimy widzieć jasno i konkretnie historyczne znaczenie strukturalnej przebudowy życia kulturalnego.

Niezależnie od różnicy poglądów czy to na istotę kultury czy na rozumienie jej celu i precyzję jej cech specyficznych, większość dawnych (i nie tylko dawnych) teoretyków, „kulturologów", lub po prostu tych którzy „kochają kulturę" ujmowała ją przede wszystkim w jednym wymiarze, w jednym przekroju: pionowym.

Mówiło się o głębi przeżyć kulturotwórczych, o wysokiej wartości dzieł kulturalnych. Barometry historyków wskazywały tylko wyże i niże ciśnienia tych czy innych prądów, ustalano hierarchię osiągnięć narodów w oparciu o wyłączne niemal kryterium osiągnięć ich najwybitniejszych twórców. Wskaźnikiem historycznej wartości kultur narodowych czy całych kręgów kulturowych mogły stać się przy tym pionowym pojmowaniu problematyki kulturalnej tylko szczytowe zdobycze największych indywidualności. Suma osiągnięć kulturalnych różnych społeczności równała się po prostu sumie osiągnięć najwybitniejszych jednostek w tych społecznościach żyjących. Historia kultury była rejestrem bohaterskich wspinaczek. Jej wykres był opisem drogi alpinistów. To, że w dole chodzili mali ludzie, którym nie konieczny nie lęk wysokości, lecz często brak warunków nie pozwalał na zdobywanie Mont Everestu, Mont Blanc czy choćby Zawratu lub Giewontu — było zagadnieniem wtórnym, nie wpływało na ocenę całości procesów kulturotwórczych, nie istniało jako problem o znaczeniu zasadniczym.

Porzućmy jednak tę karkołomną wspinaczkę po niebezpiecznych ścieżkach analogii. Nie idzie tu o stwierdzenie nieważności pionowego wymiaru kultury. Wymiar ten jest niesłychanie istotny. Wielkość. głębia indywidualnych dokonań kulturotwórczych jest zasadniczym współczynnikiem rozwoju i postępu kulturalnego. Bez osiągnięć wybitnych indywidualności, bez geniuszy bylibyśmy do tej pory niedaleko groty człowieka z Neanderthalu. Ich wkład stanowi ciągle żywą materię działania kulturotwórczego, ich myśli i przeżycia zobiektywizowane w dziele trwalszym od czasu są pośrednio zawarte w każdym przebiegu kulturowym. Kto w generalizatorskim zapale chciałby odrzucić pionowy wymiar kultury popełniłby błąd matematyczny, polegający na odrzuceniu jednego z równych składników sumy.

Pamiętać jednak należy o składniku drugim.

Historia ostatnich lat, trud wielkiej przemiany naszego kraju w kraj socjalistyczny uwyraźniły ważność drugiego wymiaru kultury. drugiego jej przekroju: poziomego. Kulturę mierzy się nie tylko w głąb i wzwyż, ale także wszerz i wzdłuż. Wskaźnikiem rozwoju kulturalnego i kulturalnego postępu jest nie samo bogactwo indywidualnych osiągnięć najwybitniejszych twórców, ale także stopień uczestniczenia w tych osiągnięciach przeciętnych odbiorców. Krzywa wzrostu kulturalnego jest wypadkową pionowego i poziomego wymiaru kultury. Czasy, które idą, niosą coraz głębsze zrozumienie i coraz prawdziwsze historycznie uzasadnienie, że wielkość kultury mierzy się jej miarą społeczną, jej twórczą proporcją między wartością produkcji kulturalnej i powszechnością kulturalnej konsumpcji.

Wydaje się faktem bezspornym, że najwyższym punktem rozwoju kulturalnego w historycznym, obiektywnym ocenianiu zjawisk kultury jest nie ten punkt do którego doszedł np. brodaty pisarz z Jasnej Polany, ale ten punkt, w którym spotkał się z nim wąsaty chłop spod Radomia.

Mówiąc po prostu: o stopniu rozwoju kulturalnego świadczyć coraz bardziej będzie i powinna miara doznań i przeżyć kulturalnych odbiorcy, masy, ogółu. Im szersze będą te doznania, im głębsze przeżycia, im większa ich powszechność, im prostsza droga docierania do wielkiego depozytu kulturowego przeszłości i bogacącego się skarbca twórczości kulturalnej doby nam współczesnej — tym większy wskaźnik postępu kulturalnego, tym wyżej pnąca się trudnym wykresem ku górze krzywa rozwoju.

Ustrój socjalistyczny, realizujący postulat umasowienia kultury, który łączyć się musi z pełnym respektowaniem zasady równania wzwyż, jest jedynym ustrojem dającym realne szanse uzgodnienia pionowego i poziomego wymiaru, jest jedynym ustrojem stwarzającym materialne warunki dla wielkiej przemiany. Dlatego Bęcwalskiego tak gniewały śmiecie w Alejach Ujazdowskich.

STATYSTYKA NADZIEI

DLATEGO też my, pochylając się nad kolumnami cyfr, które są pozornie suchym, lecz w istocie pełnym treści komunikatem o dokonaniach Polski Ludowej na odcinku szerzenia oświaty, zwalczania analfabetyzmu, umasowienia zdobyczy kulturalnych, wiemy, że mamy do czynienia ze statystyką tętniącą wielkim rytmem przemiany. Ze statystyką nadziei.

Cyfry mówiące o osiągnięciach w zakresie upowszechniania oświaty i kultury są historycznym zapisem historycznego dokonania Polski Ludowej, którego już żadna dłoń z ksiąg historii nie wykreśli. Można te fakty, o których mówią cyfry, komentować w różny sposób, można — rozumiejąc ich przełomowy sens historyczny — sądzić, że inne powinny być proporcje np. w jakości pozycji wydawniczych, w rozkładzie akcentów światopoglądowych, można domagać się na przyszłość większej troski o respektowanie zasady równania ku górze, ale samego faktu twórczej, zwycięskiej przemiany lekceważyć, czy umniejszać nie wolno nikomu. Tylko ślepcy polityczni, tylko mętniaki kulturodętologiczne, tylko ahistoryczni głupcy ujrzą w tych cyfrach martwe znaki.

Dla wszystkich innych są to znaki nadziei. Coraz więcej światła. Coraz mniej mroku. Coraz więcej Wasiaków. Coraz mniej ludzi odgrodzonych od bogactw kultury murem analfabetyzmu. Narasta proces upowszechniania wartości kulturalnych. Toczy się zwycięska walka o materialne podłoże jak najszerszego ich funkcjonowania. W procesie tym problemy ilościowych dokonań muszą się łączyć dialektyką wewnętrznych zależności z problemami jakościowymi. Wpływ na jakości kulturalne zdobywa się przez udział we wspólnym trudzie tworzenia warunków dla powszechności kultury, przez zrozumienie pełnego sensu dokonującej się przemiany i przez wyciąganie z tego sensu wszystkich praktycznych konsekwencji.

O samej przemianie niech mówią liczby.

Jeśli dla roku 1938 za wskaźnik przyjmiemy liczbę 100, stwierdzimy, że dla uczniów w szkołach siedmioklasowych wskaźnik ten — po odrobieniu kolosalnych zniszczeń wojennych — w roku 1951 wzrósł do 126, a w roku 1952 sięgnie 130. Ten sam wskaźnik dla uczniów szkół zawodowych z roku 1938 wzrósł w roku 1946 do 135, a w 1951 skoczył na 310. Dla określenia liczby studentów wskaźnik 100 z roku 1938 w roku 1946 podniósł się do 169, a w roku 1951 wspiął się na 238.

To są fakty. Fakty się liczą. Liczmy.

Jeśli w Polsce przedwrześniowej w ciągu jednego roku, np. 1937, na jednego mieszkańca przypadało mniej niż jedna książka, obecnie, np. w roku 1951, na jednego mieszkańca przypadają 4 książki. 4:1 to ładny wynik! Książek naukowych wydano w roku 1937 na 1000 mieszkańców 47, a w roku 1950 na tę samą ilość mieszkańców 594, to znaczy 12 razy więcej. 12 : 1 to wynik, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni. W roku 1937 wydano na 1000 mieszkańców 193 dzieła literatury pięknej. W roku 1950 dzieł 1080, czyli prawie 6 razy więcej. Po doliczeniu kilkunastu tytułów wydanych w roku 1944 w Lublinie oraz 1600 tytułów wydanych do dnia 16 kwietnia 1952 roku w ogólnym nakładzie ok. 23 mil. egz., otrzymamy razem ponad 30.000 tytułów wydanych w Polsce Ludowej o nakładzie 450 mil. egz., to znaczy o 50 mil. egz. więcej aniżeli ukazało się w ciągu dwudziestu lat Polski przedwrześniowej. Jeśli za wskaźnik dla roku 1945 przyjmiemy liczbę 100, wzrost produkcji wydawniczej postępował w ten sposób, że w roku 1946 wskaźnik ten wynosił 280, w 1947 skoczył na 420, w 1948 sięgnął 500, w 1949 doszedł do 720, a w 1950 dotarł do 1225.

Oczywiście, cyfry te ukazują tylko ogólny tok przemiany. Są wykresem przełomu, a nie szczegółowym zapisem epoki. Kryje się wśród nich wiele trudności, ściera się w nich wiele przeciwieństw, narasta nowy sposób rozumienia kultury, nowy jej model. Nasz udział w tworzeniu tego nowego modelu jest uzależniony od naszego rozumienia naszej pozytywnej roli w dokonującej się przemianie. Problemów wynikających z tego rozumienia nie odnotują cyfry, ale nie znaczy to, by nie uczyć się czytać z cyfr. Można z nich bowiem wyczytać między innymi naukę, że miłość do kultury nie powinna być nader platoniczna, że kochając kulturę trzeba dbać o jej warunki materialne.

Przełom w tej dziedzinie nie wymaga komentarzy. Niech komentarzem będzie koślawo jeszcze chyba wypisana kartka, o którą wzbogacił się katalog rosnącej biblioteczki Wasiaka spod Radomia.

A epilogiem artykułu, którego pomysł narzucił się z siłą konieczności wśród kiermaszowych kiosków w Alejach Ujazdowskich niechaj się stanie wspomnienie świetnego wiersza Mieczysława Jastruna pt. „List Anny Żywicł". W pięknym tym wierszu poeta pomaga dawnej analfabetce, która „żyła ślepa", wypowiedzieć radość, że teraz może ona:

„Żyć życiem innych, być tu i gdzie indziej,
Patrzeć jak rybak sieć zapuszcza w wodę,
Jak słońce pali się w piaskach pustyni,
Płakać nad losem ludzi zmarłych dawno..."

Walka o upowszechnienie kultury to walka o poszerzone życie ludzkie. Wszystkie zwycięstwa w tej walce powinny być naszą wspólną radością i wszystkie trudy wspólnymi trudami.

Apel przedstawicieli kościołów i zrzeszeń religijnych ZSRR

W Zagorsku pod Moskwą odbyła się ostatnio konferencja przedstawicieli wszystkich kościołów i zrzeszeń religijnych Zw. Radzieckiego poświęcona walce o pokój.

Uczestnicy konferencji uchwalili następujący apel:

— Duchowni i wierni wszystkich wyznań i wszystkich krajów świata!

Z inicjatywy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, w dniach od 9 do 12 maja odbyła się konferencja przedstawicieli wszystkich kościołów i zrzeszeń religijnych Zw. Radzieckiego, zwołana w celu omówienia problemu obrony pokoju na całym świecie.

Wszyscy miłujący pokój ludzie są ogarnięci trwogą, gdyż czują, że atmosfera międzynarodowa zatruwana nienawiścią, strachem i pogłoskami o wojnie pogarsza się z każdym dniem. Wielu ludzi zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz nie wszyscy wiedzą, co jest źródłem tego niebezpieczeństwa, a niektórzy ulegają fałszywej propagandzie dopatrując się źródła niebezpieczeństwa nie tam, gdzie się ono w rzeczywistości znajduje. Dlatego też pozostają oni bądź na uboczu walki, bądź też są pełni wątpliwości i niezdecydowania, bądź wreszcie znajdują się pod wpływem wrogich pokojowi tendencji.

Spoglądając ze smutkiem na taką sytuację wielu wierzących poza granicami naszego kraju, my, przedstawiciele wyznań istniejących na obszarze Zw. Radzieckiego uważamy, iż obowiązkiem naszym jest stwierdzić, że według naszego przekonania źródło wojny znajduje się nie tu, gdzie ludzie pracują nieustannie, stwarzają warunki wspólnego szczęścia i rozkwitu, osuszają bagna i nawadniają pustynie, gdzie wysiłek ludzki skierowany jest przeciwko suszy i chorobom, gdzie marzenia i czyny człowieka owiane są ideałami pokoju — lecz tam, gdzie konflikty społeczne są tłumaczone nadmiarem ludności, gdzie wytwarzane są najbardziej skuteczne środki masowej eksterminacji ludzi, gdzie przygotowuje się wojnę i snuje się marzenia o panowaniu nad światem.

Nie ma potrzeby wydobywania na światło dzienne ohydnych przykładów marzeń, przepełnionych nienawiścią do człowieka i zakusów, które opanowały umysły dzisiejszych apostołów wojny. Niech te zakusy, równie odrażające jak samo uczucie nienawiści i równie potworne jak bomby atomowe i śmiercionośne bakterie, nie zatruwają ducha narodów i nie wywołują trwogi przed widmem złowrogiej otchłani.

Nie możemy jednak przymykać oczu na fakt istnienia ruchu ciemnych sił, jak również nie powinniśmy poddawać się uczuciu trwogi lub beznadziejności. Powinniśmy wzywać ludzi do walki przeciwko ułomnościom i zbrodniom, a nie przeciwko bliźnim, przeciwko wrogom pokoju, a nie przeciwko prawdzie nowego ustroju, którego nie chcą uznać zwolennicy wojny. Obowiązkiem naszym jest przypominać ludziom wierzącym na całym świecie, że są żywymi uczestnikami wydarzeń dziejowych, a nie stojącymi na uboczu widzami bitwy, w której ważą się nasze wspólne losy.

Oto dlaczego wzywamy wszystkie kościoły i wszystkie zrzeszenia religijne całego świata, by dopomogły swym narodom w walce o utrzymanie pokoju.

ZADANIA OBROŃCÓW POKOJU

Świadomi wielkości i słuszności sprawy, jak również w poczuciu obowiązku wynikającego z naszego powołania, musimy wziąć bezpośredni udział w tej walce. Popieramy Apel Światowej Rady Pokoju, wzywający do potępienia agresji i do zakazu we wszystkich krajach propagandy wojennej, wzniecającej nienawiść i wrogość. Musimy wznieść moralną tamę przed rozpasaniem namiętności, które podjudzają do agresji przeciwko spokojnym sąsiadom, i potępić je z góry, jako zbrodnię wobec moralności i ludzkości.

Ażeby usunąć strach i nieufność, niechaj ludzie wierzący wszystkich krajów domagają się zakazu broni atomowej, chemicznej i bakteriologicznej oraz wszelkiej innej broni masowej zagłady, niechaj domagają się powszechnego, jednoczesnego kontrolowanego rozbrojenia zarówno wielkich jak i małych państw, niech domagają się położenia kresu wojnie nie tylko w Korei, lecz wszędzie, gdziekolwiek się toczy.

Potępiając agresję amerykańską w Korei, jesteśmy głęboko przekonani, że wszystkie kościoły i zrzeszenia religijne na całym świecie są gotowe poprzeć czynnie apel Biura Światowej Rady Pokoju z 1 kwietnia br. „Przeciwko wojnie bakteriologicznej".

Dopóki wojna nie stała się karą dla złych ludzi, trzeba odsunąć się od nieczystości ich słów i czynów wzywających do wojny i zażądać, aby wielkie mocarstwa zawarły Pakt Pokoju, który powinien się stać najlepszym probierzem umiłowania przez nie pokoju i najodpowiedniejszą podstawą do omówienia wszelkich problemów międzynarodowych, w tym wszystkich propozycji Światowej Rady Pokoju.

Oto zadania, jakie stawia przed wierzącymi wszystkich krajów świata sprawa utrwalenia pokoju.

MUSIMY WZIĄĆ BEZPOŚREDNI UDZIAŁ W WALCE O POKÓJ

Nie może być wątpliwości, że wszystkie religie są jednomyślne jeśli chodzi o utrwalenie pokoju, tak samo jak nie można wątpić, że każda z nich na swój sposób wielbi Boga. Wśród nas, ludzi wierzących, nie ma czcicieli zła i nieprawdy. Nie ma sług śmierci i zniszczenia. Nie ma nieprzyjaciół Boga. Przeciwnie, wszystkie wyznania, bez względu na istniejące różnice, popierają w człowieku dążenie do jedynej prawdy. Wszystkie wyznania opromieniają niedoskonałą rzeczywistość ideałami dobra i sprawiedliwości i rozszerzają nasz świat ziemski dla nieba, a doczesne życie na Ziemi do granic Wieczności.

Dlatego też troska o międzynarodowy pokój jest przyrodzona religiom. Nie na próżno przedstawiciele wszystkich kościołów i zrzeszeń religijnych Zw. Radzieckiego zebrali się dla omówienia sprawy obrony pokoju. Naszej jednomyślności w tej sprawie sprzyja pokojowa polityka Zw. Radzieckiego, która demaskuje na każdym kroku podżegaczy do nowej wojny.

Atoli w krajach kapitalistycznych jeszcze nie wszyscy ludzie wierzący biorą udział w walce o pokój. Część chrześcijan jest odciągana od walki przez obłudną propagandę i przez autorytet niektórych przywódców duchownych związanych w ten lub inny sposób z kołami imperialistycznymi. Niektóre narody wyznające islam lub buddyzm znajdują się pod uciskiem mocarstw imperialistycznych. Wyznawcy judaizmu, którzy zamieszkują liczne kraje świata, nie wszędzie podnoszą głos w obronie pokoju.

Do tych właśnie oszukanych, zastraszonych, wahających się i zwlekających, lecz potrzebujących pokoju i wierzących w pokój ludzi, chcielibyśmy zaapelować, by uświadomili sobie wspólne niebezpieczeństwo i by przekonali się, że pokój będzie zachowany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca.

JEDNOCZCIE SIĘ Z NARODAMI SWYCH KRAJÓW

Z tą właśnie myślą zwracamy się z apelem przede wszystkim do chrześcijan, powiadając:

— Odpowiedzialność wasza za utrzymanie pokoju jest szczególnie wielka, albowiem groźba wojny pochodzi od rządów mieniących się rządami chrześcijańskimi. Atoli ta okoliczność pozwala nam najbardziej pomyślnie służyć sprawie utrzymania pokoju, co wymaga od was nie przekładania jakiegoś ustroju społecznego nad inny, lecz tylko wierności wobec obowiązku religijnego. I kiedy z należną odwagą poczniecie skłaniać opinię publiczną na rzecz pokoju, to nie tylko wywrzecie dodatni wpływ na swe rządy, lecz oprócz tego zapobiegniecie zarzutowi ze strony narodów należących do innych wyznań, że życie wasze nie odpowiada wymogom wiary chrześcijańskiej.

Z gorącym apelem zwracamy się do duchownych i wiernych wyznania mahometańskiego i buddyjskiego w krajach kapitalistycznych, kolonialnych i zależnych. Ciężkie doświadczenia przeszłości i nie mniej ciężka sytuacja tych narodów w chwili obecnej dowodzą, że wielkim dobrodziejstwem byłby dla nich długotrwały pokój. Pakt Pokoju zawarty w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych umożliwiłby tym narodom wywalczenie na drodze pokojowej prawa do samostanowienia i wyplenienia zgubnych skutków kolonialnej polityki mocarstw imperialistycznych.

Do czynnej walki o pokój wzywamy również wierzących Żydów na całym świecie, którzy potrzebują pokoju nie mniej niż wszystkie inne narody. Można by było nie wspominać o tym, gdyby do walki o pokój nie wzywały ich straszliwe ofiary Oświęcimia, Buchenwaldu, Dachau, Getta Warszawskiego i innych krwawych ołtarzy ostatniej wojny światowej.

Tak więc w naszym apelu do kościołów, zrzeszeń religijnych, do duchowieństwa i wiernych wszystkich wyznań całego świata powtarzamy:

Jednoczcie się z narodami swych krajów w walce o pokój i postawcie swe rządy wobec konieczności porzucenia zgubnej polityki wzniecania nowej wojny światowej.

Wówczas groźne chmury przesłaniające niebo spłyną na ziemię nie gorejącą smołą, nie zabójczym gradem bomb atomowych i nie miliardami zakażonych chorobami owadów, lecz życiodajną rosą łaskawości, która będzie żywić sokami ziarna pokoju, zasiane przez nas w sercach ludzkich.

Niechaj Pokój zapanuje na całym świecie!

* * *

Treść apelu duchownych i wierzących narodów radzieckich zawiera postulaty bezsporne.

Obowiązek czynnego udziału w walce o utrzymanie pokoju, potępienie wojny agresywnej, protest przeciwko używaniu i żądanie zakazu stosowania środków ludobójczych — stanowią nakazy etycznie oczywiste.

I dlatego zabierając głos jako pismo katolików stwierdzamy, że trzeba wielkiego nadużycia religii przez politykę imperialistyczną, aby ludzie wierzący znaleźli się w obozie wojennym, jeszcze większego, by czynili to chrześcijanie, a największego, by czynili to katolicy. Gdziekolwiek fakt takiego nadużycia zachodzi — trzeba jasno stwierdzić, że mamy do czynienia albo z zakłamaniem, albo tragicznym w konsekwencjach moralnych brakiem rozeznania rzeczywistości.

Waga apelu przedstawicieli kościołów i zrzeszeń religijnych ZSRR polega na tym że kładzie zdecydowany nacisk na stronę moralną walki o pokój.

W apelu czytamy, „że obowiązkiem naszym jest przypominać ludziom wierzącym na całym świecie, że są żywymi uczestnikami wydarzeń dziejowych, a nie stojącymi na uboczu widzami bitwy, w której ważą się nasze wspólne losy".

Duchowni i świeccy katolicy polscy, biorąc masowo i coraz aktywniej udział w ruchu pokoju są świadomi, że budują najwłaściwszą perspektywę nie tylko dla postawy człowieka wierzącego, ale dla pełnej postawy doktrynalnej katolika w nowym świecie. Wyswobodzenie wszystkich katolików od nadużyć dokonywanych na naszej religii przez obóz imperialistyczny pozostaje jedynie słusznym programem.

NOTATNIK POLITYCZNY

Gra na zwłokę trwa

PRZESZŁO miesiąc trwały negocjacje trzech mocarstw zachodnich i rządu Adenauera nad tekstem odpowiedzi na notę radziecką z dnia 9 kwietnia w sprawie Niemiec. Wreszcie w dniu 13 maja jednobrzmiące noty rządów USA, W. Brytanii i Francji zostały doręczone rządowi radzieckiemu.

Skoro weźmiemy pod uwagę, że agresywny „układ ogólny" ma być podpisany w bieżącą niedzielę t. j. 25 maja, staje się jasnym, iż zasadniczą przyczyną zwlekania z odpowiedzią na notę radziecką domagającą się natychmiastowego podjęcia bezpośrednich rozmów była chęć storpedowania tej inicjatywy. Zachodni alianci, zdają sobie sprawę, że prędzej czy później dojdzie do bezpośredniego spotkania przedstawicieli czterech mocarstw, toteż zależy im ażeby wówczas Związek Radziecki był zmuszony dyskutować sprawę Niemiec w obliczu faktów dokonanych. Temu celowi prócz wspomnianej już zwłoki w doręczeniu odpowiedzi służą zgodnie wszystkie tezy noty zachodnich rządów.

Oczywiście, ażeby uspokoić zaniepokojoną opinię publiczną własnych państw rządy USA, W. Brytanii i Francji formalnie deklarują chęć podjęcia bezpośrednich rozmów. Większość dzienników amerykańskich publikowała tekst noty pod szumnymi nagłówkami mającymi dowieść gotowości Zachodu do natychmiastowego dyskutowania i pozytywnego sfinalizowania rozmów w sprawie wyboru ogólnoniemieckiego rządu i zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami... Jednak choćby najbardziej pobieżna lektura odpowiedzi mocarstw zachodnich wskazuje, że rzeczy mają się akurat odwrotnie. Agresywne, nieustępliwe stanowisko Zachodu sformułowane oficjalnie w poprzednich notach do rządu radzieckiego ani o jotę nie uległo zmianie.

Tak więc nadal rządy zachodnie kwestionują ostateczność uchwał poczdamskich, obstają przy włączeniu Niemiec zachodnich do „wspólnoty europejskiej" (co praktycznie oznacza utrwalanie stanu rozbicia Niemiec), negują słuszność tezy radzieckiej utrzymującej, że ingerencja ONZ w sprawy niemieckie jest sprzeczna z 107 artykułem Karty Narodów Zjednoczonych. Warto jednak zaznaczyć, że wszystkie wspomniane twierdzenia stawiane są w tej nocie niejako „na zapas", gdyż mocarstwa zachodnie wcale nie zamierzają dyskutować już obecnie szczegółów traktatu z Niemcami lecz starają się stworzyć pozory, że zależy im na ustaleniu warunków „umożliwienia" rozmowy na temat ogólnoniemieckich wyborów.

I w tej sprawie rządy zachodnie również odrzucają tezę radziecką utrzymującą, że kontrola nad wyborami nie leży w kompetencji ONZ, ale wyłącznie państw sprawą Niemiec bezpośrednio zainteresowanych. Rzekome ustępstwo ze strony rządów USA, W. Brytanii i Francji ma polegać jedynie na tym, iż aktualnie zamiast komisji ONZ proponują „komisję bezstronną" w następnym zaraz punkcie wskazując, że „najszybszym i najwygodniejszym" sposobem rozwiązania tego problemu będzie uznanie przez cztery mocarstwa za taką „bezstronną" komisję — komisję ONZ „która jest już do dyspozycji". W dalszym ciągu nota „lojalnie" zaznacza, że „aczkolwiek rządy zachodnie uważają za najodpowiedniejszą procedurę zaproponowaną w poprzednich punktach — są one gotowe rozważyć wszelkie inne konkretne i praktyczne propozycje, jakie zechciałby wnieść rząd radziecki w celu utworzenia bezstronnej komisji...".

Zauważmy nieprawdopodobnie wykrętny ton przytoczonych fragmentów noty. Wszystkim wiadomo, że spór dotyczy wyłącznie alternatywy: komisja ONZ lub komisja czterech mocarstw. Rządy zachodnie sugerują możliwość zaistnienia jakiejś trzeciej ewentualności przy czym z góry zakładają, że komisja czterech mocarstw, jako pełniąca równocześnie „rolę sędziego i strony", nie wchodzi w rachubę. W praktyce ich „ustępstwo" ma oznaczać, że arbitrzy mieliby się rekrutować spośród przedstawicieli państw zrzeszonych w ONZ, z tą tylko różnicą, że byliby oni wyznaczeni nie przez Zgromadzenie ONZ ale przez cztery mocarstwa.

Porzućmy te mało zabawne „chytrości" dyplomatyczne i zanotujmy jak rządy zachodnie rozumieją samą istotę problemu to znaczy „gotowość do natychmiastowego podjęcia rozmów". Otóż ni mniej ni więcej zdaniem rządów USA, W. Brytanii i Francji — spotkanie przedstawicieli czterech mocarstw ma mieć miejsce natychmiast — po przedstawieniu przez proponowaną „komisję bezstronną" raportu o sytuacji w Niemczech. Ponieważ jednak spór dotyczy WŁAŚNIE komisji — logicznie rzecz biorąc, rządy zachodnie odkładają spotkanie ad infinitum.

Ryszard H. MICHALSKI

DYSKUSJA O METODZIE

Prawo naturalne a chrześcijańska doktryna społeczna

KILKA artykułów dyskusyjnych, które ukazały się po dniu 15 lipca ub. r. kiedy to K. Łubieński zainicjował dyskusję nad metodą stosowaną w katolickiej doktrynie społecznej pozwalają postawić problem tak, jak go ująłem w tytule artykułu. Tak bowiem J. Zabłocki, jak i niżej podpisany zajęli wspólne stanowisko wypływające z niepokrywających się zresztą racji, przyjmując prawo naturalne za źródło katolickiej doktryny społecznej.

J. Zabłocki w sposób wyjątkowo sugestywny przedstawił w czym tkwi anachronizm metody „sakralnej", którą z kolei odrzucił. Gdy J. Zabłocki zwracał się do historii to po to, by szukać w niej potwierdzenia, iż dzisiaj metoda „sakralna" byłaby tragicznym w skutkach nieporozumieniem. Dla mnie natomiast historia była tą dziedziną, w której szukałem potwierdzenia słuszności dotychczasowej metody, szukającej podstaw katolickiej doktryny społecznej w prawie naturalnym. Nie oznacza to przyznawania palmy pierwszeństwa, z dzisiejszego punktu widzenia przeżytym formom ustrojowym lecz wskazanie na dalszą użyteczność metody katolickiej doktryny społecznej i wyjaśnienie w czym tkwi ta jej dziwna właściwość dłuższej żywotności ponad szereg faz historii ustrojów społeczno-gospodarczych. J. Zabłocki wskazał na piętę achillesową zmiany metody proponowanej przez K. Łubieńskiego, twierdząc, że nie tylko prawo naturalne zdaje się być często „wielomównym", ale i ewentualnie przyjęta nowa metoda t. j. pozytywne prawo Boże daje równie wielkie możliwości różnorodnej interpretacji przepisów społecznych Objawienia. Dla jednych więc będą one uzasadnieniem takich, a dla innych wręcz przeciwnych koncepcji społeczno-gospodarczych i politycznych. Ja natomiast wskazałem na mogące powstać analogiczne sytuacje do stosunku Kościoła do praw astronomii czy fizyki w okresie Galileusza.

Kiedy więc stanęliśmy na stanowisku prawa naturalnego zrywając w problematyce pracy społecznej z „katolickim ghettem" i opowiadając się za porozumieniem z ludźmi o innym światopoglądzie należałoby poświęcić kilka bardziej szczegółowych uwag samej kwestii prawa naturalnego, a wreszcie jego relacji do chrześcijańskiej doktryny społecznej. W tej bowiem chwili nawet sub specie dwugłosu dyskusyjnego możemy uznać za mniej wątpliwą kwestię wyboru metody aniżeli pewnych szczególnych dystynkcji prawa naturalnego, które zdaje się z dyskusji wychodzić obronną ręką.

DEFINICJA

JEST rzeczą powszechnie przyjętą, iż dla uniknięcia nieporozumień w jakiejkolwiek dyskusji zwykło się bliżej precyzować pojęcia, którymi się posługujemy i jeśli zdarza się, iż tego nie czynimy, to zwykle dla tego względu, iż uważamy używane przez nas pojęcia za jasne i niedwuznaczne, a stąd niewymagające określenia ich expressis verbis. Odnieśmy to do samego terminu: katolicka doktryna społeczna. Jest on tak wyraźnie określony użytymi w nazwie wyrazami, iż wydaje się, że trudno tu mieć jakiekolwiek wątpliwości. W terminologii główny nacisk leży na doktrynie. Dla późniejszych wywodów już tutaj wydaje się słuszne zwrócić uwagę na różnicę między nauką a doktryną. Gdy nauka w rozumieniu filozofii arystotelesowsko-tomistycznej jest poznaniem, które określamy bliżej rozumem, metodą i systematyką rzeczy ogólnych i koniecznych przez przyczyny, to doktryna jest systemem tez programowych. Gdy nauka może występować w pewnym jej aspekcie, jako poznanie teoretyczne (więc poznanie dla samego poznania) to doktryna, szczególnie społeczna, ma charakter praktyczny, więc wartość jej tez mierzona jest m. in. ich użytecznością dla dobra powszechnego.

Mimo bardzo zasadniczej współzależności nauki i doktryny, w pierwszej obowiązuje ścisły obiektywizm, w drugiej wartościowanie ze względu na cel, którym jest bonum commune. Należy jednak pamiętać, iż doktryna nie oparta na nauce jest fantazjowaniem. Dwa pozostałe przymiotniki obok doktryny wyjaśniają nam ją bliżej przez katolicyzm społeczny. We Francji np. terminu „katolicyzm społeczny" używa się często zamiennie dla chrześcijańskiej doktryny społecznej. Gdyby jednak podać realną, a nie tylko nominalną definicję omawianego przez nas kierunku społecznego przyjąłbym określenie Marcel P r e l o t a, który doktrynę tę rozumie, jako koncepcję polityki społecznej, której celem jest z h u m a n i z o w a n i e środowiska społecznego. Więc humanizm określa w sposób zasadniczy doktrynę chrześcijańsko-społeczną.

Jakkolwiek twierdzę, iż szafowanie terminem „humanizm" bez bliższego określenia jest już dzisiaj przynajmniej mało mówiącym, to tutaj mamy określenie humanizmu poprzez koncepcje chrześcijańskie. Spotykamy się więc, jak bardzo często w życiu, z dwustronną współzależnością i z współokreśleniem. Humanizm określa doktrynę chrześcijańsko-społeczną i z kolei sam jest prześwietlony niejako koncepcjami chrześcijańskimi. W szczególności w relacji człowiek — społeczeństwo będzie to humanizm personalistyczny. Kiedy więc jak dotychczas traktujemy to zagadnienie z punktu widzenia definicji i terminologii nie bez pewnych racji miejscowych i merytorycznych przyznać muszę, iż co do nazwy: katolicka doktryna społeczna mam podobne zastrzeżenia, co i m. in. p. p. Łubieński i Zabłocki. („Zagadnienie nazwy". D. i J. 50/316). O ile jednak J. Zabłocki godzi się ostatecznie na termin: katolicka doktryna społeczna, byle pamiętać, iż wyraz: „katolicka" powinien być rozumiany raczej jako „personalistyczna o motywacji katolickiej", o tyle ja osobiście podzielam terminologiczne rozwiązanie w postaci przyjęcia nazwy: chrześcijańska doktryna społeczna. Wydaje się szczególnie właściwe takie rozwiązanie, kiedy przyjęliśmy za źródło doktryny prawo naturalne. Jeszcze w roku akademickim 1947/48 pod tą nazwą właśnie: c h r z e ś c i j a ń s k a doktryna społeczna prowadził wykład na Wydziale Prawa i Nauk Społeczno-ekonomicznych Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie Ks. dr Stefan Wyszyński, obecny Prymas Polski.

ETYKA I PERSONALIZM TOMIZMU A DOKTRYNA CHRZEŚCIJAŃSKO-SPOŁECZNA

W UPRZEDNIM artykule (p. R. H. Michalski — „Czy potrzeba rewizji?" D. i J. 1.8.51 r. powiedzieliśmy w konkluzji, iż jeśli przyjmiemy za źródło doktryny chrześcijańsko-społecznej prawo naturalne, to dla dedukcji z jego pierwszorzędnej zasady: **bonum est faciendum et prosequendum et malum vitandum** (trzeba czynić dobro i nim się kierować, a unikać zła) bardziej szczegółowych norm, słusznym będzie zwrócenie się do Akwinaty. Ten fakt, iż dla zrozumienia prawa naturalnego bardzo pomocnym okazuje się tomizm wskazuje na uniwersalistyczny w pewnym stopniu charakter doktryny chrześcijańsko-społecznej.

Dla wyjaśnienia tego, co powiedziano wyżej, wydaje nam się wskazanym przypomnieć pewne zasadnicze dla naszych rozważań myśli z zakresu tak ogólno-tomistycznego, jak i z dziedziny etyki tomistycznej i personalizmu tomistycznego. Punktem wyjścia niech będzie podział tomizmu, jaki się przeprowadza od wieków na dwie wielkie części: filozofię tomistyczną i teologię tomistyczną. Nas będzie tu interesować wyłącznie filozofia tomistyczna, o której mówi wybitny tomista naszej doby, O. Inocenty Bocheński (porównaj artykuł: „ABC tomizmu — zwięzły zarys całokształtu filozofii św. Tomasza" — Znak 23.), iż „jest nauką opartą wyłącznie na doświadczeniu i rozumowaniu; tomizm odrzuca i potępia jako nieporozumienie, poglądy tych, którzy wprowadzają do filozofii przesłanki, zasady, twierdzenia wzięte z wiary lub teologii". I dalej: „Rozdział między teologią a filozofią jest jedną z najbardziej rewolucyjnych tez św. Tomasza".

Dla każdej doktryny społecznej szczególnie ważnym jest jej etyczne ujmowanie zjawisk. Objektywistyczna etyka tomizmu jest teologiczną i aktywną. Według niej człowiek jest dobry lub zły zależnie od możliwości realizacji swojego celu, a cel ten osiągnąć może jedynie poprzez czyn. Nawet najlepsze intencje nie dowodzą, by ich posiadacz był człowiekiem dobrym, dopiero możliwość sprawnej realizacji dobrych czynów pozwala nazwać realizującego je człowieka — dobrym. Na pełny charakter człowieka dobrego składają się cztery grupy sprawności moralnych: roztropność, prawość, moc i umiarkowanie. „Etyka tomistyczna — powiada O. Bocheński — uczy, że istnieją cztery rodzaje wzajemnie sobie podporządkowanych norm to jest miar ludzkiego czynu: prawo odwieczne, n a t u r a l n e, pozytywne i ludzkie sumienie". Ostateczną tedy miarą czynu ludzkiego jest Myśl Boga, czyli prawo wieczne, które przejawia się we wspólnej całemu rodzajowi ludzkiemu rozumnej, psychofizycznej naturze człowieka w postaci prawa naturalnego, do którego wykładania i stosowania powołana jest prawowita władza ustanawiająca prawa pozytywne. Stąd też powie Martyniak: „Prawo, które nie jest sprawiedliwe, nie jest prawem, a tylko wydaje się nim być". — „Wreszcie bezpośrednią normą ludzkiego czynu — stwierdza O. Bocheński kreśląc ABC tomizmu — jest indywidualne sumienie, które stosuje prawo naturalne do konkretnej sytuacji". Te kilka uwag z zakresu etyki tomistycznej, bardzo ogólnych zresztą, a to dla ich wypadkowego w niniejszych rozważaniach charakteru, podałem celem szkicowego określenia charakteru osoby ludzkiej, będącej podmiotowo i przedmiotowo punktem zainteresowań doktryny chrześcijańsko-społecznej.

W tomizmie szczególnie ważkimi dla zrozumienia pojęcia i celu społeczeństwa będą myśli z zakresu personalizmu społecznego. Ich pierwszorzędny charakter tkwi w tym, iż są wydedukowane z rzeczywistości z uwzględnieniem tego, co stałe i co zmienne, prześwietlone więc są, jak same dzieje społeczeństw prawem naturalnym bez którego trudno by nam zrozumieć ich sens. W schematycznym skrócie podamy tu myśli personalizmu tomistycznego.

1) Społeczeństwo ludzkie jest zespołem osób ludzkich posiadających wspólny cel, którym jest dobro społeczne.

2) Jakkolwiek społeczeństwo ludzkie nie jest substancją, nie jest też fikcją. Jest ono zespołem osób powiązanych całym szeregiem zachodzących między nimi relacji i czymś więcej aniżeli sumą jednostek na nie się składających. Jest bytem realnym.

3) Człowiek to „animal sociale", a społeczny charakter jego natury to differentia specifica określającej go definicji. Dobro wspólne jest zasadniczym warunkiem właściwego rozwoju człowieka jako jednostki i celem społeczeństwa.

4) Celem społeczeństwa według personalizmu tomistycznego jest umożliwienie każdemu z jego członków jak najlepszych warunków życia i rozwoju.

5) Podstawowym warunkiem rozwoju człowieka są dobra materialne, a głównym środkiem ich zdobywania p r a c a l u d z k a.

6) Każde społeczeństwo musi posiadać władzę, której istnienie wywodzi się z prawa naturalnego. Żaden jednak ustrój nie jest bezwzględnie doskonały, ani też stały, a jego właściwość i dobroć w danym miejscu i czasie zależy od wielu okoliczności. Każda jednak władza będąc zespołem osób ludzkich jest obowiązana do postępowania zgodnie z zasadami etyki.

Przez podane wyżej myśli przebija, jak widzimy, ideał wspólny wielu, jeżeli nie wszystkim doktrynom społecznym, a jest nim d o b r o p o w s z e c h n e, w relacji zaś człowiek-społeczeństwo s p r a w i e d l i w o ś ć. Przypominają mi się tu słowa Arystotelesa: „Gdy jedni drugich kochają sprawiedliwość jest zbędna". Myśl to piękna, lecz jeszcze w dwa tysiące lat po Chrystusie, jakże idealna. Może już nie tak rzadka w stosunkach człowiek-człowiek, nie często jednak spotykana w relacji człowiek-społeczeństwo i vice versa. Stąd w stosunkach społecznych ideałem jest sprawiedliwość, której szczytem powiemy za mistrzem ze Stagiry „jest sprawiedliwość połączona z życzliwością i sympatią dla bliźnich". (Arystoteles — Eth. Nic. VIII, 1, 4)"

O WŁAŚCIWE ZROZUMIENIE POZYCJI PRAWA NATURALNEGO

SMIEM twierdzić, że chyba każdy ktokolwiek i kiedykolwiek zajmował się prawem naturalnym napotykać musiał na swej drodze wiele trudności i niebezpieczeństw. Jak w każdym odkryciu naukowym, tak w każdej myśli twórczej nic zdziałać nie można bez odwagi. Dlatego nie wydają mi się przesadą, lecz są obowiązujące dla każdego, kto stara się myśleć twórczo, słowa Martyniaka: „W analizie prawa naturalnego należy mieć odwagę i szczerość zamiaru pójścia aż do końca, nie należy zajmować postawy strusiej chowania głowy w piasek, by w ten sposób uniknąć niebezpieczeństwa".

W ciągu ostatniego półrocza, gdy na łamach „Dziś i Jutro" otwarta jest dyskusja*) nad metodą w chrześcijańskiej doktrynie społecznej i gdy w każdym z dyskusyjnych artykułów pojawia się problem prawa naturalnego spotkałem się z głosami pozytywizujących czytelników, którzy jeśli nie mieli innego argumentu dla przeprowadzenia „druzgocącej krytyki" całej dyskusji, to kończyli swoją ze mną rozmowę słowem: „logomachia". Inni natomiast chcieli wyjaśnień systematycznej natury odnośnie prawa naturalnego.

Pragnę zapewnić, iż obecna dyskusja to nie czysta walka o słowa, lecz sprawa mająca swoje praktyczne konsekwencje w pracy społecznych działaczy katolickich. Zresztą w dziejach chrześcijańskiej myśli społecznej „nic nowego pod słońcem" i dlatego może dyskusja ta jest w pewnym sensie wywalaniem otwartych drzwi. Co do wątpliwości a raczej niezorientowania uważam, że nie od rzeczy będzie wskazać krótko na miejsce prawa naturalnego w systematyce prawnej tomizmu.

Gdybyśmy mówili o prawie, jako o pewnej całości, to według św. Tomasza dzieli się ono na dwa rodzaje: 1) prawo per se, tj. czerpiące swą moc obowiązującą z samego siebie — jest to prawo wieczne, oraz 2) prawo per participationem, tj. mające swoją podstawę w normie innej i wyższej, a obowiązujące przez uczestnictwo niejako w tej normie. To właśnie prawo per participationen dzieli się

*) Patrz „Dziś i Jutro" Nr: 28 (34), 45 (311), 50 (316) — 1951 i 1 (319) — 1952 r.

(Dokończenie na str. 4).

NAGRODA IM. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

W pierwszych dniach czerwca b. r. przyznana zostanie Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka fundowana corocznie przez tygodnik „Dziś i Jutro" dla twórców katolickich w łącznej sumie

zł 15.000.—

Skład jury podamy do wiadomości w następnym numerze.

Konstanty ŁUBIEŃSKI

Z POBYTU W KRAJU

ROZWÓJ gospodarczy ZSRR to sprawa interesująca nie tylko obywateli radzieckich lecz również bardzo wielu ludzi w innych krajach. Istnieją trzy główne przyczyny tego zainteresowania. Po pierwsze rozwój gospodarczy ZSRR stanowi sprawdzian systemu ekonomicznego wprowadzonego w Kraju Rad. Po drugie: rozwój gospodarczy ZSRR łącznie z wielkimi bogactwami naturalnymi tego kraju stwarza zeń jednego z największych partnerów w międzynarodowym handlu. Po trzecie: potęga gospodarcza ZSRR, a w szczególności rozwój przemysłowy, to równocześnie wyraz ogromnej siły politycznej, siły służącej sprawie pokoju.

Zainteresowanie Polaków rozwojem gospodarczym Związku Radzieckiego jest szczególnie silne z uwagi na to, że poza powyższymi przyczynami Polska jest krajem o szerokich stosunkach gospodarczych z ZSRR, z którym łączy ją sojusz zabezpieczający najżywotniejsze interesy narodowe Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza w Moskwie, która odbyła się w dniach od 3—12 kwietnia br. zilustrowała pewnymi danymi faktycznymi znajdujące się w Polsce materiały informacyjne na temat rozwoju gospodarczego Związku Radzieckiego. Te dane faktyczne czerpać będziemy z konkretnego programu eksportowo - importowego ZSRR przedstawionego na Konferencji Moskiewskiej przez prezesa radzieckiej Izby Handlu Zagranicznego Nestorowa, z wystaw zagranicznych zorganizowanych w Moskwie z racji Konferencji oraz z ogólnych obserwacji dokonanych w czasie dwutygodniowego pobytu w stolicy ZSRR.

***

ZANIM jednak przejdziemy do omówienia powyżej wskazanych źródeł wydaje się niezbędnym przypomnieć choćby w sposób najkrótszy wyniki powojennego planu pięcioletniego, gdyż dane, które będziemy przytaczać są ściśle związane z realizacją powyższego planu i dopiero na jego tle stają się zrozumiałe.

W wyniku realizacji czwartego z kolei, a pierwszego po wojnie planu pięcioletniego, produkcja przemysłowa w 1951 r. była dwukrotnie wyższa od produkcji w 1940 r. a produkcja przemysłu maszynowego przekroczyła poziom z 1940 r. 2,8 razy. Produkcja hutnicza w 1950 r. zwiększyła się o 45% w stosunku do stanu przedwojennego. W rezultacie ZSRR produkuje obecnie prawie tyle stali co łącznie Anglia, Francja, Belgia, Szwecja. Produkcja energii elektrycznej wyniosła w 1951 r. 104 miliardy kwh, to znaczy więcej aniżeli łączna produkcja Anglii i Francji. Wydobycie ropy naftowej było w 1950 r. o 22% wyższe od przedwojennego Produkcja przemysłu chemicznego przewyższała w 1950 r. poziom przedwojenny 1,8 razy. Produkcja podstawowych wyrobów przemysłu lekkiego wzrosła w ciągu pięciolatki np. w dziedzinie tkanin bawełnianych ca 2,4 razy, tkanin wełnianych 2,9 razy. Produkcja podstawowych artykułów spożywczych wzrosła znacznie w okresie pięciolecia np. produkcja tłuszczów zwierzęcych podniosła się o 57%. W wyniku odbudowy, rozbudowy i modernizacji produkcyjny majątek trwały całego przemysłu był wyższy w 1950 r o 58% w stosunku do 1940 r. Pod koniec 1950 r. liczba zatrudnionych była wyższa o 7.700.000 w stosunku do stanu z 1940 r. Z tytułu zasiłków i ulg ludność w 1950 r. otrzymała sumę 3 razy wyższą aniżeli w 1940 r. Równocześnie nastąpił znaczny wzrost płac i tak np. w fabryce konstrukcji metalowych „Mołotow" przeciętny zarobek robotnika wzrósł w omawianym okresie 1,5 razy. Dwie trzecie robotników zarabia miesięcznie od 1000 do 4000 rubli. W okresie 1940 — 1950 ilość towarów sprzedawanych w sklepach państwowych i spółdzielczych wzrosła (bez sprzedaży towarów pochodzenia miejscowego): np. mięsa i przetworów mięsnych o 38%, przetworów rybnych o 51%, tłuszczów o 59%, wyrobów cukierniczych o 34%, tkanin bawełnianych, wełnianych, jedwabnych i lnianych o 47%. W stosunku do 1940 r. sprzedaż artykułów gospodarczych i artykułów przeznaczonych dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych ludności wykazała szczególnie dużą zwyżkę: sprzedaż artykułów zegarmistrzowskich 3,3-krotną, aparaty radiowe 6-krotną, rowerów i maszyn do szycia ca 3-krotną, motocykli 16-krotną.

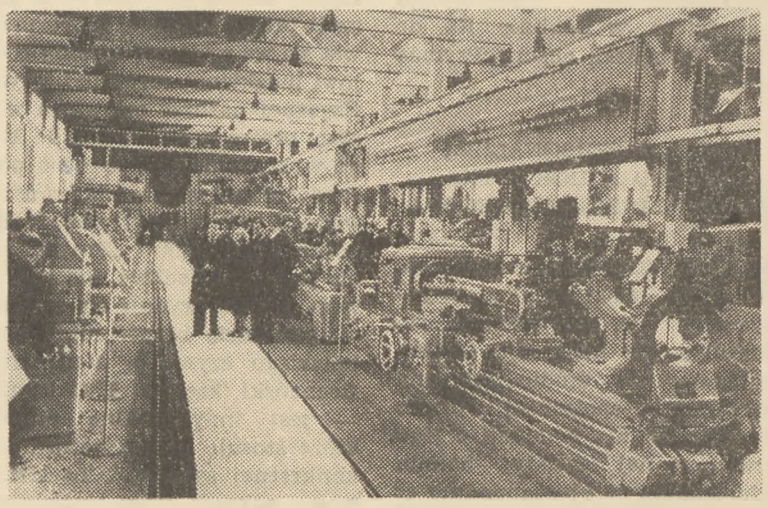

Jedna z hal wystawy obrabiarek

***

KONKRETNY program rozwoju handlu zagranicznego ZSRR w stosunku do krajów Europy Zachodniej, Ameryki, Azji płd.-wsch., Środkowego Wschodu, Afryki, Australii, przedstawiany na Konferencji Moskiewskiej stanowi niezwykle silny dowód olbrzymiego rozwoju gospodarczego ZSRR, a to nie tyle z powodu cyfr globalnych obrotów, lecz przede wszystkim z powodu zmian w strukturze eksportu i importu. W wyniku planowego rozszerzenia stosunków handlowych z wyżej wymienionymi sferami roczny obrót handlu zagranicznego ZSRR (a więc łącznie z obrotami z krajami innych sfer) wzrósłby w ciągu najbliższych dwóch lub trzech lat półtorakrotnie lub dwukrotnie w stosunku do stanu obecnego. Jednakże wzrost ten zostałby osiągnięty w tych warunkach kiedy roczne obroty z wyżej wymienionymi krajami wyniosłyby 10 lub 15 miliardów rubli wobec 11 miliardów rubli osiągniętych w 1931 r. Dlatego też podając te cyfry przedstawiciel ZSRR podkreśla, że przedstawiony program nie wyznacza górnej granicy rozwoju obrotów, ponieważ obecne możliwości Związku Radzieckiego zarówno w zakresie eksportu jak i importu są znacznie większe niż w 1931 r.

Najbardziej jednak o rozwoju gospodarczym ZSRR świadczą zmiany jakie zaszły w ciągu ubiegłych 20 lat w jego strukturze handlu zagranicznego.

Jak wiadomo przed 20 laty ZSRR był eksporterem surowców przemysłowych i rolnych oraz importerem maszyn i urządzeń inwestycyjnych. Tymczasem w świetle powyższego programu, jak również na tle obecnych obrotów, można stwierdzić następujące zasadniczo odmienne cechy handlu zagranicznego Kraju Rad:

1. w zakresie dawnych artykułów eksportowych wzrasta ich asortyment, jakość, a w wielu wypadkach również ilość,

2. obok eksportu surowców występuje eksport różnego rodzaju sprzętu przemysłowego, maszyn rolniczych, środków transportowych oraz wyrobów przemysłu lekkiego. Na podkreślenie zasługuje w szczególności oferta ZSRR dostawy krajom Azji południowo - wschodniej oraz Bliskiego i Środkowego Wschodu maszyn i sprzętu wartości 3 miliardów rubli.

3. po stronie importu na pierwszym miejscu występują surowce, metale i inne materiały, między innymi surowce dla produkcji towarów masowego spożycia, a ponadto jak to podkreśla przedstawiciel ZSRR „w odróżnieniu od lat ubiegłych radzieckie organizacje handlu zagranicznego mogłyby, w szczególności przy odpowiednich warunkach, kupować za znaczne sumy artykuły włókiennicze, garbarskie, spożywcze oraz inne artykuły masowego spożycia i to w coraz większej ilości".

4. w ramach importu inwestycyjnego występują również towary specjalne jak np. wyposażenie statków handlowych.

W świetle powyższych stwierdzeń widoczny jest przede wszystkim ogromny rozwój przemysłu pozwalający na eksport wyrobów gotowych i to zarówno inwestycyjnych jak i konsumcyjnych oraz na import surowców czy półfabrykatów celem ich przerobu. Równocześnie wzrost importu dóbr konsumcyjnych świadczy o wzroście siły nabywczej ludności i możliwości pokrycia tego importu eksportem własnych produktów.

Prawo naturalne

(Dokończenie ze str. 3)

na: a) prawo naturalne, b) prawo ludzkie, c) prawo boskie.

Gdyby więc ktoś zapytał: dlaczego mam czynić dobrze? Odpowiedzielibyśmy, iż taka jest myśl Boża, która wlała w naturę wszelkiego stworzenia pęd ku działaniu zgodnemu z celem danej natury, a to jest właśnie dobrem, którym jesteśmy zobowiązani.

Na innym miejscu zdefiniowaliśmy szczegółowiej prawo naturalne, tutaj dla przypomnienia wystarczy podać bardziej zwięzłe określenie, jakie znajdujemy u Ulpianusa: **„Ius naturale est quod natura omnia animalia docuit"**. (Inst. 1) („Prawo naturalne jest tym, czego natura nauczyła wszystkie stworzenia).

Jest ono zresztą w zgodzie ze znanym jeszcze bardziej może ogólnym, twierdzeniem św. Tomasza: „Prawo naturalne jest rzeczą rozumu". Z kolei zastanowimy się nad następującymi dwoma problemami: 1) Czy istotnie prawo naturalne jest tak ogólne, iż z jego norm nie da się wydedukować szczegółowych postulatów polityki społecznej? 2) O ile prawo naturalne jest stałym, o ile natomiast zmiennym i czy tomistyczna na to odpowiedź jest zgodna z naszą wiedzą o dziejach?

Postawione tu przez nas pytania są bardzo zasadniczymi dla niniejszych rozważań i każde z nich osobno mogłoby być przedmiotem dłuższych, odrębnych deliberacji. Ze względów jednak objętościowych naszego pobieżnego szkicu musimy odpowiedź na nie zmniejszyć do pewnego minimum. Stąd też zdawkowe uogólnienia, jakimi tu z konieczności będziemy operowali należy brać z zastrzeżeniem, jakie powinniśmy żywić wobec wszelkiego rodzaju uogólnień, w szczególności historyczno-społecznych. Pierwszą kwestią, którą wypada nam tutaj się zająć jest problem ogólności, że tak to ujmę, zasadniczych norm prawa naturalnego. Jak już niejednokrotnie powiedziano podstawą prawa naturalnego jest norma: **bonum est faciendum et prosequendum et malum vitandum.** (Trzeba czynić dobro i nim się kierować a unikać zła). To o czym tu powiemy nie zostało pominięte przez K. Łubieńskiego, trudno nam jednak zrozumieć dlaczego wyciągnąwszy bardziej szczegółowe normy z pierwszorzędnej zasady nie był on skłonny do uznania ich praktycznego znaczenia.

I tak, norma naturalna odnośnie wszelkiego stworzenia: należy zachować byt zgodnie z naturą danej substancji, jest już bardziej szczegółowa. Z tej zasady dedukujemy nie tylko zakaz samobójstwa lecz i pozytywne normy karne opatrzone sankcją za zabójstwo człowieka, czy uszkodzenie mu ciała. Tutaj będziemy nawet mieli przepisy karno-administracyjne zakazujące polowania na zwierzęta w niewskazanym przez naturę okresie. Z tej normy wyprowadzimy przepisy o ochronie pracy. Ochraniając byt strzeżemy też możliwości jego powstania i stąd karzemy spędzanie płodu czy dzieciobójstwo. A wszystkie wyżej podane normy w formie nakazów czy zakazów mają swoją bezpośrednią podstawę w prawie, o którym mówi doktór anielski: **Appetit (homo et quaelibet substantia) conservationen sui esse secundum suam naturam".** (Człowiek i każda substancja dąży do zachowania swojego bytu zgodnie ze swoją naturą).

Następną normą szczegółową będzie: należy przekazać swój byt. Odnośnie człowieka, który jest stworzeniem rozumnym obowiązuje go pewien porządek, stąd też będziemy tu mieli normy szczegółowe, określające związek małżeński, z prawa naturalnego monogamiczny. Z kolei z normy nakazującej przekazać swój byt otrzymamy główny cel małżeństwa: spłodzenie potomstwa i wychowanie go, przez co św. Tomasz rozumie przygotowanie go do wolności.

Trzeci nakaz naturalny zawiera się, jak uprzedni w samej naturze człowieka. (Mówimy tu raczej o osobie ludzkiej, aniżeli o innych substancjach, a to ze względu na użyteczność dla doktryny chrześcijańsko-społecznej szczegółowych norm naturalnych, odnoszących się do człowieka.) Trzecią wydedukowaną tedy normą będzie: społeczny charakter osoby ludzkiej. I tak, powie św. Tomasz: „U wszystkich ludzi istnieje naturalna pewna skłonność do życia zbiorowego w państwie, podobnie jak istnieje u nich skłonność do cnót. Lecz tak, jak cnót nabierają ludzie przez ćwiczenia, tak i państwa tworzy wysiłek ludzki". (In Polit. lib. 1, ac. 1 in fine). Wreszcie czwarta szczegółowa norma — pospolicie nazywany: pęd do wiedzy czyli chęć poznania, jest naturalną skłonnością człowieka. W tej to naturalnej skłonności ludzkiej mają oparcie prawa człowieka do wolności myśli, słowa, druku i w ogóle wszelkich przejawów ludzkiej inteligencji w granicach porządku społeczno-prawnego. Trzecia i czwarta szczegółowa norma prawa naturalnego zdają się należeć do tej grupy, o której mówi J. Maritain w swojej książce p.t.: „Les droits de l'homme et la loi naturelle". „Są rzeczy, które się należą człowiekowi z racji samego faktu, że jest on człowiekiem".

Przechodzimy obecnie do jednego z trudniejszych i żywo dyskutowanych problemów, jakim jest kwestia niezmienności prawa naturalnego i kwestia jego granic. Podstawowym rozróżnieniem będą tu pierwsze zasady (communia principia) i wnioski szczególne (conclusiones propriae). Oto, co mówi sam św. Tomasz: „Należy powiedzieć, że w pierwszych zasadach prawo naturalne jest niezmienne, co do przepisów drugorzędnych, które są niejako wnioskami właściwymi i bliskimi z pierwszych zasad, prawo naturalne nie ulega zmianie w taki sposób, iżby w większości wypadków to, co do niego należy, nie zawsze było prawem, lecz może się zmieniać, w jakimś szczególnym wypadku, albo w jakiejś drobnej liczbie wypadków z pewnych względów szczególnych, które stoją na przeszkodzie zachowaniu takich przepisów". (S. Theol. II I, II, 94,5.).

Kiedy spojrzymy na dzieje w ich dynamicznym rozwoju niewątpliwie stwierdzimy stały ich postęp warunkowany dążeniem ku dobru, które w różnych okolicznościach przybiera właściwe sobie oblicze. Stwierdzamy za Tomaszem, że w pierwszych zasadach prawo naturalne jest niezmienne, obserwując natomiast ich realizację możemy na tym miejscu skonstatować, że w naturze ludzkiej przejawiały się one stale, a w zależności od układu sił miały swój wyraz w dziejach ludzkości. Wnioski natomiast szczególne (conclusiones propriae) wyciągnięte ze społecznej natury człowieka nie określają bliżej organizacyjnych form życia społecznego, które w historii w zależności od całego szeregu czynników kształtowały się różnorodnie. Rozwój środków produkcji stanowił tutaj często czynnik zasadniczy. Każdy z istniejących w przeszłości ustrojów był w swoim czasie postępowym w stosunku do istniejącego przed nim. To stanowisko bowiem zajmujemy np. w odniesieniu do wczesnego kapitalizmu, który był niewątpliwym krokiem naprzód w rozwoju społecznych form życia ludzkiego w stosunku do ustępującego feudalizmu. Stąd też doktryna chrześcijańsko-społeczna zakłada nie tylko znajomość prawa naturalnego, lecz również w niemniejszym stopniu historii, a już szczególnie potrzeb dnia codziennego uwarunkowanych rozwojem techniki, stanem gospodarstwa narodowego i innymi wyznacznikami życia społecznego. Gdy w szczegółach społecznej organizacji będziemy obserwowali zmiany uzasadnione wspólnym dobrem, a będące wykładnikiem postępu, w pierwszych zasadach współżycia społecznego będziemy zawsze związani pochodnymi normy: bonus est faciendum.

Ryszard H. Michalski

WIELKIEGO PRZEMYSŁU

Warto również podkreślić, że ZSRR nie tylko nie domaga się żadnej pomocy zagranicznej dla siebie, żądając jedynie poszanowania zasady „równych praw i wzajemnych korzyści", lecz nawet proponuje pomoc w różnych formach np. zgadza się na przyjmowanie walut krajowych od swoich partnerów handlowych, co świadczy o szerokich możliwościach zakupu przez ZSRR różnego rodzaju towarów.

***

W CZASIE Konferencji Moskiewskiej zorganizowano szereg wystaw gospodarczych ilustrujących ogromny rozwój gospodarczy ZSRR a w szczególności jego uprzemysłowienie.

W niniejszym artykule postaramy się najogólniej omówić poszczególne wystawy.

Wystawa maszyn budowlanych obejmowała maszyny służące do budowy domów, dróg, kanałów i kopalń.

Wśród ogromnej ilości eksponatów uderzało bogactwo typów w poszczególnych rodzajach maszyn, wysoki poziom techniczny oraz nowoczesność modeli (wiele z 1951 r. a nawet 1952). Ponadto godnym podkreślenia jest fakt, że ten sam rodzaj maszyn jest produkowany przez kilka fabryk. Świadczy to niewątpliwie o dużych rozmiarach produkcji.

Najliczniej były reprezentowane maszyny zwane excavatorami (kopaczki), które służą w zasadzie do wydobywania ziemi i przenoszenia jej na odpowiednie miejsce (na samochody, wagony itd.) Ponadto wiele z nich może służyć jako dźwigi. Zademonstrowano 6 typów tego rodzaju maszyn, każdy z nich jest dostosowany do celów, którym ma służyć, a więc do przenoszenia ziemi, gruzów, do budowy kanałów oraz do specyficznych warunków pracy np. w terenie płaskim, górzystym itd.

Szczególną uwagę zwracał excavator typu 505 na gąsiennicach (są również excavatory na pneumatykach) wypuszczony w br., którego zdolność produkcyjna wynosi 75 do 120 m³ na godzinę oraz excavator typu 251 wydobywający ziemię z głębokości 2.5 m przy zdolności produkcyjnej 135 m³ na godzinę. Nie na tej lecz na innej wystawie demonstrowano excavator, który można by nazwać gigantem. Jest to tak zwany excavator kroczący (porusza się na pewnego rodzaju płozach). Nośność kosza wynosi 14 m³ a długość ramienia 75 m. Jest on obsługiwany przez 5 osób i zastępuje pracę 7 tysięcy ludzi. Konstruktorem tego excavatora jest inż. Satowskij (1950) laureat nagrody Stalina.

Ciekawą maszyną jest t.zw. kanałokopacz (Dichter), który służy do kopania kanałów przy melioracjach. Maszyna ta kopie 1000 — 1500 m kanału na godzinę.

Różnorodność typów wykazują również t.zw. grajdery, maszyny do usuwania ziemi, oraz znane w Warszawie buldożery. Grajder typu 192 posiada zdolność produkcyjną 400 m³ na godzinę, buldożer typu 271 — 100 m³ na godzinę, zastępując pracę 200 ludzi.

Swą wielkością zwracały uwagę maszyny wiertnicze i krany (dźwigi). Potężna maszyna wiertnicza Du-40 obsługiwana przez 4 ludzi posiada zasięg do 1200 m głębokości. Krany które pracują również i w Warszawie sięgają do 5 piętra i podnoszą ładunek o ciężarze 3 ton.

Poza tym przedstawiano wiele maszyn bardzo precyzyjnych, mających zastosowanie w budownictwie, jak np. pompy, agregaty, kompresory, transformatory, maszyny elektryczne do tynkowania i bielenia itp.

W końcu trzeba wspomnieć jeszcze o kombajnie węglowym, który wydobywa od 70 do 130 ton węgla na godzinę, jest obsługiwany przez 10 osób, a zastępuje pracę 50 ludzi.

Wystawą najlepiej obrazującą wzrost poziomu technicznego radzieckiej produkcji przemysłowej była **wystawa obrabiarek i narzędzi przemysłowych.**

Przedstawiono 42 typy obrabiarek wśród których wiele budziło podziw zwiedzających z powodu ich wysokiego poziomu technicznego (np. osiąganie olbrzymiej szybkości obrotów do 3000 na minutę) i oryginalności. W szczególności zainteresowanie budziła obrabiarka automatyczna 6-cio spindlowa, tokarka rewolwerowa, tokarka korbowodowa do obróbki dużych łożysk oraz do obróbki osi, różnego rodzaju wiertarki, frezarki, szlifierki, półautomatyczne frezarki do wyrabiania profilów itd.

Na tej wystawie demonstrowano również prasy, młoty pneumatyczne obrabiarki do drzewa Wśród narzędzi zaciekawiały różne narzędzia miernicze i sprawdzające, mikroskopy itd.

Rozwój przemysłu samochodowego ilustrowała **wystawa samochodów osobowych, ciężarowych oraz traktorów.**

Wśród samochodów osobowych bardzo efektownie przedstawiają się komfortowe samochody ZIM (6 cylindrowe, 90 KM) i ZIS (8 cylindrowe, 140 KM) przy czym model ZIS 110 jest przerobiony również na wóz sanitarny przeznaczony do przewożenia chorych i udzielania szybkiej pomocy. Poza tym przedstawiono znaną w Polsce Pobiedę (4 cylindry, 50 KM), czteroosobowy Moskwicz (4 cylindry, 23 KM) oraz Gaz 67, osobowy wóz terenowy (4 cylindry, 54 KM). Fabryka ZIS wyrabia również autobusy, typ 155 przedstawiono na wystawie. Autobus ten zawiera 28 miejsc siedzących i 22 stojących.

Wśród samochodów ciężarowych pokazano szereg typów marki ZIS Gaz i Jas o nośności od 2 do 7 ton oraz różne typy samochodów wywrotek z urządzeniami hydraulicznymi.

Również na tej wystawie zademonstrowano 7 typów traktorów. Szczególną uwagę zwracał traktor D 35 (57 KM) na gąsiennicach (były traktory również na pneumatykach i kołach zębatych) posiadający 5 biegów, co przy jego małej wysokości i szerokości pozwala na użycie go w trudnych warunkach pracy. Szczególną zwrotnością odznacza się traktor Uniwersał 1 i 2, dzięki czemu może pracować na małych przestrzeniach.

Wystawa maszyn rolniczych zadziwiała ogromną ilością eksponatów i obejmowała wszelkiego rodzaju maszyny rolnicze od najprostszych do najbardziej skomplikowanych, wskazując na ogromny rozwój tej gałęzi przemysłu.

Wśród różnych typów kombajnów obejmujących, jak wiadomo, cały proces zbioru zbóż od cięcia kłosów do oczyszczenia ziarna, szczególną uwagę zwracał kombajn samochód C4 na pneumatykach, którego zdolność produkcyjna wynosi 2 ha na godzinę oraz kombajn Staliniec o zdolności produkcyjnej 2,2 ha na godzinę. Kombajny te zastępują pracę około 150 ludzi.

Bardzo ciekawą maszyną jest kopaczka do buraków cukrowych CKM-3, która podważa, wyciąga z ziemi, obcina liście, czyści oraz układa oddzielnie liście i buraki. Jej zdolność produkcyjna wynosi 0,25 ha na godzinę.

Niezwykle oryginalna jest kosiarka automobilowa, używana do różnego rodzaju traw (także stepowych). Posiada 5 kos pracujących równocześnie, co pozwala jej objąć pas szerokości 10 m. Obsługuje ją 1 człowiek, jej zdolność produkcyjna wynosi od 5 do 6 ha na godzinę.

Ciekawy jest zespół maszyn służących do obróbki lnu. Dzięki mechanizacji tej pracy udział w niej człowieka jest ograniczony do minimum. To samo odnosi się do zbierania i czyszczenia bawełny. Maszyna do zbierania bawełny na pneumatykach, ciągnięta przez traktor zastępuje pracę od 40 do 50 ludzi przy zdolności produkcyjnej 0,2 ha na godzinę.

Zademonstrowano wiele maszyn służących zwalczaniu szkodników i chorób wśród różnych roślin przy pomocy rozpraszania środków chemicznych.

Wśród wielkiej ilości pługów zwracał uwagę ogromny pług do orki nieużytków.

W związku z odbywającą się Międzynarodową Konferencją Ekonomiczną szczególne zainteresowanie wzbudziła **wystawa towarów eksportowych.** Nie objęła ona jedynie maszyn, które jak wiadomo stanowią ważną pozycję eksportu ZSRR a które przedstawiono na innych wystawach. Wystawa ta zorganizowana przez radziecką Izbę Handlu Zagranicznego wskazała jak szeroki jest wachlarz możliwości eksportowych Kraju Rad.

Wśród kopalin, obok węgla wystąpiły różnego rodzaju rudy jak żelazna, manganowa, chromowa, apatytowa oraz grafity, azbest, itp. Dużą różnorodność wykazywały również produkty chemiczne przeznaczone na eksport.

Wśród towarów konsumcyjnych przedstawiono przede wszystkim różnego rodzaju środki żywności, jak np. zboża, mąki, ryż, kasze, wędliny, konserwy, czekoladę, sery, ryby itd.

Szczególnie bogata była **wystawa napojów eksportowych.** Między innymi przedstawiono różne wina gruzińskie i armeńskie, szampan, portwein i madery z Krymu, likiery i nalewki z fabryk moskiewskich. Również przemysł tytoniowy zademonstrował różne rodzaje papierosów, cygar i tytoniów.

Traktory i ciągniki produkcji radzieckiej

Wśród przedmiotów użytku domowego zwracały uwagę naczynia kuchenne, kuchenki gazowe, lodówki, maszyny do prania, noże itd. Wśród artykułów luksusowych trzeba podkreślić bogactwo typów aparatów radiowych, wśród których wyróżnia się 15 lampowy aparat „Leningrad", następnie kryształy, wyroby ceramiczne, fajanse, perfumy, instrumenty muzyczne, zabawki itd.

W dziale rowerów również zwracała uwagę różnorodność typów. W dziale motocykli przedstawiono 3 typy motocykli oraz opony. Przykładem wysokiego poziomu techniki produkcji radzieckiej są różne aparaty i narzędzia precyzyjne, wśród których trzeba wyróżnić aparaty fotograficzne, przyrządy optyczne, narzędzia i urządzenia chirurgiczne.

Wystawa przemysłu lekkiego objęła produkty przemysłu tekstylnego, futrzarskiego i skórzanego oraz dywany zarówno fabrycznej jak i ręcznej roboty. W dziale tekstyliów wyróżniały się przede wszystkim bardzo piękne jedwabie. Dział futrzarski odznaczał się szczególnym bogactwem asortymentów. Wśród różnego rodzaju futer uderzająco piękne były sobole, karakuły i lisy zarówno żółte jak i srebrne.

Wystawa przemysłu artystycznego i ludowego bardzo bogata pod względem ilości i różnorodności asortymentów świadczy o tym, że rozwojowi tej produkcji nie przeszkodził ogromny rozwój wielkiego przemysłu.

W dziale porcelany zwracały uwagę ręcznie malowane wyroby dymitrowskiej fabryki (jednej z najstarszych fabryk rosyjskich) i kalińskiej. Wśród szkieł powszechną uwagę zwracały efektowne kryształy oraz szkła kolorowane z fabryki leningradzkiej.

Bogactwem kolorów i wzorów odznaczały się chusty, obrusy jak również pudełka pokryte lakiem.

Artele (spółdzielnie pracy) z różnych okolic ZSRR przedstawiały tradycyjne artystyczne wyroby z drzewa, z gliny, ze srebra, z kości mamutów (z wykopalisk na północy ZSRR), tkaniny przetykane nitką złotą, szable grawerowane, tace oraz malowane meble. Wszystkie te wyroby będące wyrobami ręcznymi odznaczają się niezwykle precyzyjnym wykonaniem, bardzo wysokim poziomem artystycznym, a przytym dużą oryginalnością.

***

CO mówi o rozwoju gospodarczym ZSRR wygląd Moskwy.

Przede wszystkim budownictwo, które już przed wojną przeobraziło Moskwę w miasto nowoczesne, a po wojnie dzięki rozwojowi całego przemysłu nadal intensywnie wzrasta. Świadczy o tym w szczególności budowa olbrzymich drapaczy chmur. Przewiduje się budowę 8 drapaczy z których 4 już stoją i w tym roku będą całkowicie wykończone a 4 znajduje się w trakcie budowy. Jeden z drapaczy przeznaczony jest na uniwersytet, 2 na hotele, 2 na mieszkania, a 3 na biura. Przy budowie uniwersytetu można zauważyć pracę ogromnej ilości maszyn bez których ten rodzaj budownictwa byłby w ogóle nie do pomyślenia.

Metro moskiewskie, jak powszechnie wiadomo, to wielkie zwycięstwo techniki radzieckiej i ogromnego rozwoju wielu dziedzin przemysłowych.

Niezwykły ruch samochodowy trwający pełne 24 godziny (natężenie ruchu słabnie zaledwie w ciągu kilku godzin na dobę) świadczy w ogólności o dużej intensywności życia w Kraju Rad oraz o ogromnej produkcji samochodów, która jest uwarunkowana rozwojem różnych dziedzin przemysłowych. Sama Moskwa jest dużym ośrodkiem fabrycznym. Miałem okazję zwiedzać fabrykę Moskwiczów, imponującą rozmiarami i urządzeniami technicznymi.

Najlepszym dowodem zarówno rozwoju gospodarczego jak i jego celu jest ogromna masa towarów konsumcyjnych zarówno żywnościowych jak i innych, która płynie poprzez liczne sklepy 6-milionowej Moskwy. Księgarnie są pełne wydawnictw naukowych i beletrystycznych. Wśród towarów luksusowych zwraca uwagę duża podaż aparatów radiowych oraz aparatów fotograficznych. Ważne jest jednak stwierdzenie nie tylko dużej masy towarowej lecz dużego ruchu w sklepach. Siła nabywcza ludności odpowiada zatem masie towarowej. Narzuca się porównanie z Wiedniem i zachodnim Berlinem gdzie sklepy są pełne towaru, lecz nie ma kupujących. Nie można wreszcie nie wspomnieć o wspaniałych hotelach luksusowo i nowocześnie urządzonych oraz licznych teatrach, kinach i salach koncertowych pełnych publiczności.

Wszystkie wyżej wymienione zjawiska najwymowniej świadczą o wszechstronnym rozwoju gospodarczym ZSRR, a przede wszystkim o jego uprzemysłowieniu.

***

OGROMNY rozwój gospodarczy ZSRR, jego uprzemysłowienie oraz stały wzrost stopy życiowej obywateli radzieckich są to fakty bezsporne. Nie trzeba być marksistą, aby dokonać tego stwierdzenia o czym świadczą wypowiedzi wielu uczestników Konferencji Moskiewskiej, których poglądy ideologiczne i polityczne są dalekie od stanowiska reprezentowanego przez ZSRR. Na tle dotychczasowych osiągnięć plan aktywizacji południowo - wschodnich terenów europejskich ZSRR przestaje być jakąś fantastyczną bajką a staje się konkretem. Powstaną elektrownie o olbrzymiej mocy, które pozwolą na uruchomienie wielkich nowych ośrodków przemysłowych, nawodnienie i zapory leśne użyźnią dziesiątki milionów hektarów, sieć kanałów zapewni najtańszy transport towarowy pomiędzy wszystkimi częściami europejskich terenów ZSRR. Wielkie prace obejmujące zespoły kujbyszewski, stalingradzki, kachowski, kanały Wołga-Don i turkmeński są w pełnym toku. Niektóre z tych prac są już na ukończeniu. Realizacja tego nieznanego w gospodarce świata planu, jak również stały rozwój innych terenów pozwoli w krótkim czasie, jak się zdaje jeszcze za życia naszego pokolenia, na osiągnięcie wyższego aniżeli w jakimkolwiek innym kraju, poziomu produkcji i stopy życiowej. Ten wniosek nasuwa się jednak nie tylko na podstawie danych świadczących o wielkich dotychczasowych osiągnięciach, lecz wynika również z rzucającej się w oczy postawy ludzi radzieckich, odznaczających się wiarą w wielką przyszłość ich ojczyzny i silną wolą przezwyciężania wszelkich przeszkód na drodze do tego celu.

Na tle tych stwierdzeń staje się całkowicie zrozumiałą i oczywistą międzynarodowa polityka ZSRR, której celem jest umocnienie pokoju i współpraca pomiędzy wszystkimi narodami. Kraj, który podejmuje tak wielkie zadania i którego olbrzymi dorobek został osiągnięty w ciężkiej walce i pracy nie może prowadzić innej polityki. Równocześnie trzeba uświadomić sobie, że już osiągnięty rozwój gospodarczy jest potężnym jej gwarantem.

W końcu jeszcze jedna refleksja. Patrząc na osiągnięcia i dalsze perspektywy rozwoju ZSRR myśl moja była nieustannie skierowana ku Polsce, ku jej problemom. I wówczas umacniałem się w przekonaniu co do słuszności naszych poczynań gospodarczych uwzględniających doświadczenia Kraju Rad oraz co do słuszności polityki naszego rządu ludowego opartej o sojusz współpracę i sojusz ze Związkiem Radzieckim.

Konstanty Łubieński

CZYTAJCIE
„SŁOWO POWSZECHNE"
PISMO CODZIENNE

Bruce MARSHALL

SUTANNA NIE CZYNI JESZCZE

W 1943 roku na Placu Marszałka Petaina, przemianowanym tak przed trzema laty z Placu Marszałka Haiga, panował niewielki ruch. Obserwując tę część miasta w okresach wojennych można by rzec, że dzielnica ta powoli zamiera, chociaż Paryż z latami niepomiernie się rozrasta. Wydaje się, że najbardziej ożywiona była ona w roku 1914 przed pierwszą wojną światową, gdy plac ten nosił jeszcze miano Generała Marchand.

Obecnie od czasu do czasu przesuwały się po nim bezszelestnie, niemieckie samochody sztabowe z widocznymi za szybami limuzyn sztywnymi, nadętymi sylwetkami w wysokich wywiniętych czapkach.

Pewnego zimowego wieczoru ksiądz Gaston siedział w swym nieogrzewanym pokoiku na piątym piętrze i radował się ciszą, gdyż sądził że pomoże mu ona w intensywnych rozmyślaniach. W jakiejś pobożnej książce ksiądz wyczytał niedawno, że niektórzy świątobliwi ludzie rozmyślając

o właściwościach Boga byli w stanie podwyższać temperaturę swych ciał do tego stopnia, że na przykład pewien nabożny braciszek z zakonu Franciszkanów w 1724 roku w Compostella rozmyślając o Osobowości Trójcy Świętej ugotował jajko w zimnej wodzie, w której moczył nogi. Chociaż ksiądz był zbyt biedny, aby pozwolić sobie na zjedzenie jajka, jednak bardzo pragnął poczuć nieco ciepła w swych zmarzniętych członkach, gdyż noc była chłodna, a piec w księżowskim pokoiku dawno już nie widział kawałka węgla.

Jeszcze przed kilku laty ksiądz mógł liczyć na odrobinę ciepła przenikającego przez podłogę z ogrzewanego mieszkania sąsiadki, osoby lekkich obyczajów, w średnim wieku. Jednak już od trzech lat najmłodsze i najładniejsze osoby lekkich obyczajów w Paryżu nie mogły liczyć na centralne ogrzewanie węglem, a ksiądz Gaston nie spodziewał się znaczniejszych rezultatów z ich rozmyślań religijnych.

Ksiądz Gaston wsunął zmarznięte dłonie w szerokie rękawy sutanny, próbując zebrać rozpierzchnięte myśli i zmusić się do nabożnych medytacji. Jego wychowanka, pstra kotka Kleopatra musiała również odczuwać zimno, gdyż ustawicznie ocierała się o jego nogi wydając przy tym przeraźliwe miauczenie. Ksiądz zdawał sobie sprawę, że kotka jest głodna, jednak nie miał jej co dać, tak jak nie miał sam co zjeść, bo od pewnego czasu odżywiał się tylko raz dziennie. Ksiądz chwytał się niekiedy na pożądliwych spojrzeniach w kierunku Kleopatry, rozważając w krótkich przebłyskach czasu jakby ona smakowała po przyrządzeniu à la mayonnaise. Ganił się jednak surowo za te zbrodnicze myśli, które nawet ani trochę nie rozgrzewały jego zmarzniętego ciała.

Dopiero gwałtowny dzwonek do drzwi obił księdza gorącą falą krwi. Chociaż już minęło więcej niż dwa lata od wizyty niemieckiego oficera policji w sprawie poszukiwania zbiegłej z Wiednia w 1938 roku dziewczyny żydowskiej, którą ksiądz Gaston uratował od śmierci głodowej i dopomógł urządzić się w Paryżu, ksiądz wciąż obawiał się denuncjacji ze strony któregoś ze swych rodaków, nie zawsze umiejących w czasie okupacji zachować godność Francuza. O Racheli wiedziała przecież konsierżka Madame Boulon i sąsiadka, osoba lekkich obyczajów w średnim wieku i ksiądz rektor i przede wszystkim ksiądz Moune, tak często przebywający w towarzystwie Niemców. A nawet właścicielka domu mód Madame Bisberot, u której Rachela pracowała jako modelka, mogła pod wpływem strachu zmienić zdanie i zameldować władzom niemieckim o pobycie u niej Żydówki.

Fala gorąca minęła, księdza Gastona przejęło od stóp do głów jeszcze dotkliwsze niż uprzednio zimno. Ruszył w kierunku drzwi otwierając je zdecydowanym ruchem. Za drzwiami stał jego stary przyjaciel i kolega pułkowy z I wojny światowej Bessier, czynny członek Partii Komunistycznej z jakimś młodym mężczyzną. Obaj byli zgonieni i zadyszani, wpadli szybko do pokoju, natychmiast zamykając za sobą drzwi. Bessier ruszał się prędko, jak tylko pozwalała na to jego drewniana noga. Jego towarzysz nosił zniszczone, dużo za obszerne na niego ubranie. Bessier przyłożył ucho do drzwi i długo nadsłuchiwał. Po czym wyprostował się i spojrzawszy na księdza Gastona nieprzytomnym wzrokiem powiedział:

— Janie, wiem że możemy na ciebie liczyć.

Ksiądz skinął głową, próbując się uśmiechnąć. Pomimo wszelkich usiłowań uśmiech jego nie wypadł zbyt entuzjastycznie.

— Musisz pomóc Ruchowi Oporu.

Ksiądz Gaston dużo słyszał o Ruchu Oporu i nie był zdziwiony dowiedziawszy się, że Bessier ma coś z tym wspólnego, aczkolwiek ksiądz nigdy nie mógł zrozumieć dlaczego reakcyjna, imperialistyczna wojna pluto-demokracji zamieniła się z dniem 21 czerwca 1941 roku w sprawiedliwą i postępową wojnę.

Tymczasem Bessier ciągnął dalej:

— Ten oto facet jest lotnikiem brytyjskim zestrzelonym parę dni temu. Uratował się na spadochronie.

— Oczywiście rozumiem, odpowiedział ksiądz Gaston. Mam ukryć twego przyjaciela przez kilka dni, dopóki nie przekażecie go dalej.

— Sprawa nie jest tak prosta jak się wydaje — powiedział Bessier. Jesteśmy śledzeni. Jednego z nich udało się nam sprzątnąć. I to niedaleko stąd.

Ksiądz poczuł się głęboko nieszczęśliwy. Nie pochwalał zabójstwa z zimną krwią, lecz przede wszystkim obawiał się niebezpieczeństwa dla siebie.

— Tylko bez cykorii — powiedział Bessier patrząc surowo na przerażoną twarz księdza. Nikt nas nie widział, gdy tu biegliśmy. Ksiądz zbliżył się do ciemnej zasłony w oknie. Począł nadsłuchiwać czy z ulicy nie dochodzą jakieś podejrzane odgłosy.— Panowała zupełna cisza. Nie uspokoiło go to jednak, wiedział, że Niemcy w przeciwieństwie do Francuzów, nie lubią robić niepotrzebnego hałasu. Brytyjski lotnik przemówił po raz pierwszy wskazując na siebie:

— Help me[1]) — powiedział.

Widząc otwartą, dziecinnie uśmiechniętą twarz lotnika, ksiądz Gaston poczuł, że odpływa go fala niechęci spowodowanej jego nagłym wtargnięciem, wnoszącym tyle kłopotów i niebezpieczeństw.

Chłopak wyglądał tak smarkatowato, że na dnie duszy księdza zjawiło się coś w rodzaju sympatii tym bardziej, że lotnik nie wydawał się zdolny do rzucania bomb na bezbronne kobiety i dzieci i do mordowania z zimną krwią ludzi.

Aczkolwiek ksiądz wiedział, że zbrodniczość ludzi przy zielonych stolikach polega głównie na tym, aby uczyć smarkaczy, że okrucieństwo jest ich obowiązkiem, niemniej począł się zastanawiać dlaczego arcybiskupi nie potępili równie surowo nalotów powietrznych, jak kontroli urodzin.

Przede wszystkim musisz zatrzymać tego oficera dzisiaj na noc — powiedział Bessier. Jutro wsadzisz go do lyońskiego pociągu — uważaj Janie na to co mówię — jest to dla nas sprawa życia i śmierci.

— Oczywiście, że uważam — odpowiedział ksiądz — aczkolwiek wiedział dobrze, iż nie może słuchać uważnie właśnie dlatego, że sprawa ta była kwestią życia i śmierci dla każdego z nich.

— Wydaje mi się jednak — ciągnął Bessier — że powinieneś osobiście odwieźć go do Lyonu. Tak, to będzie lepiej. Facet nie zna przecież ani słowa po francusku. a towarzystwo księdza usunie ewentualne podejrzenia.

— To będzie trochę trudne — odpowiedział Gaston — zadowolony, iż znalazł wymówkę — wiesz przecież, że mam tutaj obowiązki.

— Nie gadaj głupstw, powiedział Bessier, możesz zawsze wytłumaczyć swoim przełożonym, że masz pilny interes poza Paryżem. Oczywiście nie należy mówić nikomu dokąd jedziesz. Czym mniej osób wie o tym, tym lepiej.

Ksiądz Gaston był przybity i zrezygnowany coraz bardziej. Dziwił się wojennemu entuzjazmowi Bessiera odkąd wojna ta przestała być imperialistyczną, a stała się postępową.

— Na razie zostawiam ci trochę pieniędzy na życie — jutro wrócę i obgadamy resztę.

PO odejściu Bessiera w pokoju zapanowała cisza. Ksiądz Gaston nie wiedział co powiedzieć lotnikowi, który z kolei robił wrażenie, że nie wie co powiedzieć księdzu.

— Obawiam się, że jest już zapóźno, aby kupić coś do zjedzenia — powiedział ksiądz Gaston.

— No compree — odpowiedział Anglik — oui, oui couleur rouge, no compree[2]).

— Jest już za późno, aby kupić coś do zjedzenia — starał się wytłumaczyć ksiądz swą łamaną angielszczyzną, sklepy są już zamknięte.

— Oui, oui couleur rouge — powtórzył Anglik.

— Bardzo dobrze mówi pan po francusku — powiedział ksiądz.

— Mademoiselle voulez-vous coucher avec moi[3]) — ciągnął zachęcony słowami uznania lotnik.

— To już gorzej po francusku — odpowiedział nieco zgorszony ksiądz.

— Nie gniewajcie się ojcze —

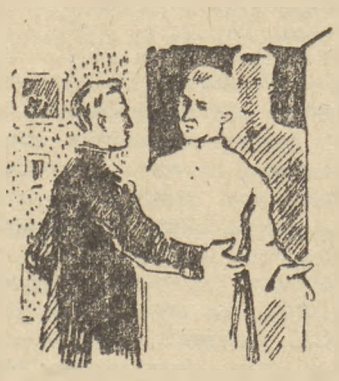

rzekł skruszony Anglik. Z placu dochodziły odgłosy ciężkich kroków patroli niemieckich tam i z powrotem obchodzących kościół.

Ksiądz i lotnik przysłuchiwali się z niepokojem. Na szczęście po chwili wszelkie odgłosy ucichły i na placu zapanowała cisza.

— Czy jest pan chrześcijaninem? — zapytał ksiądz.

— Kościół anglikański — odparł lotnik.

— Nie latałem nigdy samolotem. To musi być dziwne uczucie. Czy nigdy się pan nie boi?

— Każdy od czasu do czasu ma pietra.

— Myślę, że musi pan być bardzo dzielny, ale nawet wówczas kiedy pan się nieco boi wielką pociechą musi być myśl, że walczy pan w słusznej sprawie.

— Mnie się zdaje, że wojna nigdy nie jest słuszna — powiedział Anglik. — Wojna zawsze jest wojną jakkolwiek byśmy na nią patrzyli.

— W każdym razie nie czyni pan takich okropności jakie robią Niemcy.

— Nie kijem go to pałką — odpowiedział Anglik. Ksiądz przygotował tapczan do spania i powiedział:

— Myślę, że najlepiej będzie, jak położy się pan spać.

— Oui, oui, couleur rouge — rzekł lotnik.

— Dla nas dwóch za ciasno było by na tym tapczanie, ja prześpię się więc na krześle.

— Oui, oui, couleur rouge.

Ksiądz ukląkł i począł odmawiać swój wieczorny pacierz, podczas gdy lotnik się rozbierał. Ksiądz modlił się za wszystkich nieszczęśliwych ludzi na świecie i o nadejście Królestwa Niebieskiego na ziemi. Gdy skończył modlitwę, Anglik już dawno chrapał wyciągnięty na tapczanie.

Wczesnym rankiem przybiegł Bessier, przyniósł pieniądze i instrukcje. Wieczorem ksiądz Gaston z lotnikiem miał udać się na Dworzec Lyoński i kupując bilety do Lyonu oświadczyć kasjerowi, że różowy królik ma niebieski ogon. Wówczas kasjer powinien wydać bilety i potrzebne dokumenty. W czasie podróży do Lyonu nie wolno im było ze sobą rozmawiać, a gdyby ktoś zagadał do lotnika miał on udawać niemowę. Na dworcu w Lyonie ksiądz Gaston miał zbliżyć się do czekającego na nich młodego człowieka w czerwonym krawacie i niebieskim swetrze i powiedzieć: „Norwegowie budują dobre mosty", na co młody człowiek powinien odrzec: „Tak, ale Szwedzi robią lepsze wieczne pióra". Ksiądz miał przekazać lotnika młodemu człowiekowi, który musiał się zająć jego dalszą ekspedycją do granicy hiszpańskiej.

GDY wieczorem dwaj konspiratorzy wychodzili z domu, zagrodziła im drogę na parterze konsierżka Madame Boulon i pod pozorem upewnienia się co ma dawać jeść kotce Kleopatrze, którą ksiądz zlecił jej opiece na czas swej nieobecności, zarzuciła księdza szeregiem niedyskretnych pytań przypatrując się przy tym badawczo Anglikowi. Kiedy wreszcie udało im się wymknąć natrętnej kobiecie, wyszedłszy na ulicę wpadli na księdza Moune, który jakby umyślnie w celu spotkania księdza Gastona przechadzał się wolnym krokiem po skwerze. Ksiądz Gaston nie miał zaufania do księdza Moune ze względu na jego zbyt zażyłe stosunki z Niemcami, toteż gdy ten zbliżył się z inkwizytorską miną i zadał jakieś pytanie księdzu Gastonowi, zbył go szybką odpowiedzią, urywającą możliwość dalszej rozmowy.

Po długich wyczekiwaniach i tłoczeniu się w wagonach metra dwaj zbiegowie przybyli na Dworzec Lyoński i stanęli w ogonku przy kasie. Gdy ksiądz Gaston doszedł do okienka powiedział kasjerowi: „niebieski królik ma różowy ogon".

— Różowy królik i niebieski ogon — poprawił kasjer bez uśmiechu — w porządku, wejdźcie do tego pokoju z tamtej strony.

Ksiądz i lotnik obeszli wokoło poczekalnię, otworzyli wskazane drzwi, i znaleźli się w niewielkim pokoiku za kasą. Po chwili wyszedł do nich kasjer wręczając zwitek papierów.

— Wszystko co wam będzie potrzebne macie, bilety i pozwolenia. Młody człowiek posiada oczywiście dowód osobisty przy sobie? — Tak jest — powiedział ksiądz, pokazując fałszywy dokument Anglika, w którym tenże figurował jako księgowy. Kasjer obejrzawszy fotografie powiedział: — Możecie zaryzykować, ale bezpieczniej będzie, jeśli zamienicie się ubraniami. Idźcie do toalety i zróbcie to natychmiast, bo Niemcy coś węszą.

Przerażony ksiądz Gaston próbował oponować, wysuwając szereg zastrzeżeń dotyczących fotografii na dowodzie, swojej brody itp., kasjer rozłożył ręce — trudno, powtarzam, możecie ryzykować, ale żebyście w razie czego nie mówili, iż was nie ostrzegałem. Wreszcie ksiądz zdecydował się pójść za radą kasjera. Gdy ksiądz wytłumaczył lotnikowi o co chodzi, ten począł się dusić ze śmiechu, lecz upomniany ostro przez księdza udał się z nim do toalety, gdzie dokonali zamiany ubrań. Ubranie lotnika było zbyt obszerne dla księdza, a sutanna była zbyt krótka dla Anglika, któremu księżowski kapelusz chwiał się na czubku głowy. Ale nie to najwięcej gnębiło księdza. Jeszcze nigdy w życiu nie widział ksiądz Gaston mniej uduchowionego kapłana, niż ten młody lotnik.

— Ma pan tutaj swój brewiarz — powiedział ksiądz, wręczając lotnikowi małą, czarną książeczkę ze złoconymi brzegami — bezpieczniej będzie, jeśli pan przez cały czas będzie udawał pogrążonego w czytaniu.

— Oui, oui, couleur rouge — rzekł lotnik.

Przestań pan wreszcie powtarzać to głupstwo — rzekł ksiądz z niecierpliwością. Przede wszystkim to nie ma żadnego sensu, a poza tym pan mówi ze złym akcentem francuskim.

— A co mam mówić zamiast tego? — spytał Anglik.

— Najlepiej będzie, jak pan w ogóle nie będzie nic mówił.

— A kiedy zacznę nawracać ludzi?

KSIĄDZ nic nie odpowiedział i obaj wyszli na peron. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch dziwnych podróżnych, chociaż księdzu Gastonowi wydawało się, że wszyscy na niego patrzą, tak głupio się czuł w ubraniu cywilnym. A przy tym lotnik miał tak przedziwnie świecki wygląd! Wagon trzeciej klasy był przesiąknięty zapachem czosnku, cebuli i surowej marchwi. Przedział, w którym usiedli słabo oświetlało mdłe, niebieskie światło. Zastali już tam cztery osoby. Jakąś starszą kobietę z klatką z kanarkiem na kolanach, malutkiego człowieczka wyglądającego na skromnego urzędnika, oraz czerstwego jegomościa z ośmioletnim synkiem wymachującym krótkimi nóżkami. Ku zadowoleniu księdza lotnik otworzył brewiarz i zaczął udawać, że czyta.

tł. Romuald DZIESZUK

KSIĘDZA...

Przez korytarz przeszło dwóch żandarmów niemieckich, księdzu Gastonowi dusza usiadła na ramieniu, na szczęście jednak Niemcy poszli dalej. Do przedziału wtoczył się zażywny prowincjonalny ksiądz i położywszy walizkę na siatce, ulokował się naprzeciwko księdza Gastona. Nowoprzybyły duchowny rzucił krótkie spojrzenie zawodowego zainteresowania w stronę przebranego lotnika i wyjąwszy z kieszeni sutanny gazetę, pogrążył się w czytaniu. Ksiądz Gaston modlił się gorąco, aby zażywny proboszcz jak najdłużej czytał swą gazetę i nie zwrócił przypadkiem uwagi, że domniemany ksiądz odmawia swój brewiarz w zupełnie nieodpowiednim miejscu. Ksiądz Gaston chciał wyjść na korytarz i wywołać lotnika, gdy nagle zauważył z przerażeniem, że Anglik odłożył brewiarz i szczerzy swe równe białe zęby w szerokim uśmiechu w kierunku korytarza. W drzwiach przedziału stała młoda dziewczyna o typowym wyglądzie midinetki z przedmieścia Paryża. Twarz dziewczyny była jaskrawo wymalowana, z daleka bił od niej zapach tanich perfum, przypominający woń kwiatów i czekolady. Lotnikowi, siedzącemu obok księdza Gastona, świeciły się oczy jak kotowi do szperki, a z ust jego wydobywał się dźwięk przypominający syk uchodzącego powietrza z opony. Pamiętając wybór zdań francuskich młodego człowieka, ksiądz Gaston był zgnębiony do ostatecznych granic. Chcąc odwrócić uwagę podróżnych od lotnika, ksiądz Gaston zerwał się gwałtownie ze swego miejsca i począł pomagać nowoprzybyłej w umieszczeniu na siatce jej ciężkiej walizki. Cel został w zupełności osiągnięty. Ksiądz Gaston ruszał się po ciasnym przedziale z taką zręcznością, że starszej kobiecie drzemiącej w kącie, zrzucił ciężki koszyk na głowę, czym sprowadził na siebie gromy oburzenia ze strony poszkodowanej i rozbudzonych gwałtownie współpasażerów. Jednocześnie śpiącemu smacznie zażywnemu proboszczowi spadł z bagażnika, troskliwie tam przezeń umieszczony, kapelusz księżowski i potoczywszy się po kolanach pasterza legł pod ławką. Duchowny otworzył przerażone oczy i goniąc resztkami cierpliwości chrześcijańskiej, zerwał się z ławki, podniósł zakurzony kapelusz i otrzepawszy go starannie umieścił z powrotem na miejscu.

Ledwo się wszystko uspokoiło, ksiądz Gaston ujrzał ze zgrozą, że jego podopieczny, domniemany kapłan, odłożył brewiarz i pochyliwszy się naprzód, mruga energicznie lewym okiem w stronę dziewczyny, która na szczęście jeszcze tego nie zauważyła. Na domiar złego zażywny proboszcz nie miał oczu zamkniętych, przeciwnie, jego zaokrąglone ze zdziwienia oczy wlepione były ze zgorszeniem w swego duchownego kolegę. Chcąc ratować sytuację, ksiądz Gaston wyciągnął nogę i kopnął lotnika w kostkę.

— Oui, oui, couleur rouge — wyszeptał lotnik. Zażywny proboszcz wzruszył ramionami, z widocznym obrzydzeniem odwrócił głowę i zamknął oczy. Resztę nocy ksiądz Gaston spędził nie spuszczając wzroku z lotnika, który z kolei znów nie spuszczał wzroku z dziewczyny.

Wraz z jednostajnym stukiem wagonu ksiądz Gaston zaczął odmawiać modlitwę. „Ave Maria" szeptały wargi księdza, „gratia plena" powtarzały koła wagonów. W końcu księdza Gastona zmorzył sen.

Gdy otworzył oczy już świtało. Któryś z podróżnych podniósł zasłonę okienną. Pierwsze spojrzenie na lotnika upewniło księdza Gastona, że podjął on swoje niecne manewry w stosunku do dziewczyny. Dziewczyna patrzała pełna zmieszania i zdziwienia. Ksiądz Gaston nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że nie są oni jedynymi osobami obserwującymi twarz dziewczyny. Dwóch żandarmów niemieckich stało w korytarzu zaglądając do wnętrza przedziału. Mając nadzieję, że nie dostrzegają oni idiotycznego zachowania lotnika, ksiądz Gaston postanowił ratować sytuację po raz drugi. Mrugał na dziewczynę, a gdy zwróciła na to uwagę, zaczął dawać porozumiewawcze znaki, aby wyszła z nim na korytarz. Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech. Ksiądz Gaston nie zaprzestawał znaków, które wydawały mu się jak najbardziej władcze i uwodzicielskie. Dziewczyna wahała się, w końcu wstała i wyszła na korytarz, a ksiądz Gaston ruszył za nią. Obaj żandarmi niemieccy nad podziw grzecznie usunęli się z drogi, aby dać im przejście. Na szczęście dziewczyna okazała się zbyt młoda i niedoświadczona, by należycie ocenić niedźwiedzie umizgi księdza Gastona. Wkrótce jednak ksiądz Gaston zrezygnował z roli don Juana i rozmowa przeszła na bardziej koleżeńskie tory.

Gdy pociąg wjechał na dworzec w Lyonie i nasi zbiegowie wysiedli, sprawy potoczyły się już znacznie gładziej. Co prawda ksiądz Gaston powiedział oczekującemu ich młodemu człowiekowi, że „Szwedzi budują dobre wieczne pióra" zamiast „Norwegowie budują dobre mosty". Główna rzecz jednak, że lotnik został oddany we właściwe ręce i ksiądz mógł wrócić następnym pociągiem do Paryża.

Gdy po powrocie wchodził na klatkę schodową, od strony portierni zaleciał go przyjemny zapach smażonego królika. Widocznie u rzeźnika znów można dostać króliki. Ksiądz zastukał do drzwi Madame Boulon, zamierzając zapytać gdzie można kupić mięso królicze. Madame Boulon nie wydawała się zadowolona z widoku księdza. Zasłaniając sobą patelnię, jakby chciała ukryć to co się na niej smaży, powiedziała:

— Nie oczekiwałam księdza powrotu tak wcześnie, doprawdy proszę księdza. Nie wiem, jak księdzu to powiedzieć. Po pierwsze, kot...

— Co się stało kotu, przerwał zaniepokojony ksiądz.

— Zginął, proszę księdza, zginął. Madame Boulon przybrała boleściwy wyraz twarzy. — Ledwo odwróciłam się od drzwi, a zaraz się wymknął. Cóż mogłam na to poradzić?

— Pewnie niedługo wróci z powrotem. Koty na ogół są przywiązane do miejsca.

— Niech się ksiądz nie łudzi, w czasie wojny rzeźnicy łapią koty i sprzedają je jako mięso królicze. Nieboszczyk mój mąż opowiadał mi, że tak było w Paryżu w 1870 roku.

Ksiądz Gaston zrozumiał, jaki to królik smaży się na patelni Madame Boulon, ale cóż miał biedak powiedzieć. Odszedł przygnębiony. Nie kierował się tutaj wyrozumiałością chrześcijańską. Po prostu bał się starej konsierżki.

(Fragment powieści „Every man a penny").

---

1) Pomóż mi.
2) Nie rozumiem — tak, tak kolor czerwony, nie rozumiem.
3) Czy chce pani ze mną się przespać?

Andrea TONCHU RU

Twórca rosyjskiej prozy realistycznej

W ZWIĄZKU z przypadającą w marcu br. stuletnią rocznicą śmierci Mikołaja Gogola warto przypomnieć chociaż w zarysie niektóre ważniejsze wydarzenia z jego życia i twórczości. Kanwą tych rozważań będą dwa tomy „Utworów Wybranych"[1]), zawierających szereg najcelniejszych dzieł wielkiego prozaika.

O ile dobór tych utworów wydaje się całkowicie uzasadniony (chociaż szkoda, że zamieszczono tylko dwa opowiadania z „Wieczorów na chutorze koło Dikańki"), o tyle niesposób nie dziwić się chaotycznemu ich układowi. Utworów nie zestawiono chronologicznie w kolejności ich powstawania, lecz umieszczono zupełnie bezładnie. I tak, na przykład, dwa opowiadania z wyżej wspomnianych „Wieczorów", pierwszej pozycji pisarskiej Gogola, znalazły się dopiero na początku tomu II, a na pierwszym miejscu umieszczono napisanego w parę lat później „Rewizora". „Szynel" z późniejszych opowiadań zawędrował do tomu I, a nowele i opowieści wydane w r. 1835 są rozparcelowane w obu tomach. Jedynie „Martwe Dusze", szczytowe i ostatnie pełnowartościowe osiągnięcie twórczości Gogola, znajdują się na właściwym, tj. chronologicznie ostatnim miejscu.

Wymienione powyżej błędy byłyby może mniej rażące, gdyby nie bardzo istotna wzmianka we wstępie Natalii Modzelewskiej, stwierdzająca, że uboga w wydarzenia zewnętrzne historia życia Gogola jest właściwie historią jego twórczości. Niewielu pisarzy, w skali nie tylko narodowej, ale i światowej, wiodło tak pozbawione uczuć osobistych życie, jak Gogol. Dość powiedzieć, że przez życie jego nie przeszła żadna kobieta. W twórczości jego nie ma śladów osobistych namiętności, ani romantycznej tęsknoty za miłością. Silniejsze nici wiązały go jedynie z matką i rodzeństwem, ale przywiązania te słabo i rzadko znajdują odbicie w jego dziełach. Tylko może w „Pamiętniku wariata", wzruszająca apostrofa do matki, rozpaczliwe wołanie o ratunek, świadczy o bardziej osobistym uczuciu pisarza do jakiejś ludzkiej istoty.

Na tle powyższych uwag tym bardziej uzasadnione wydaje się twierdzenie, że należało utwory ułożyć chronologicznie, zamieszczając przy każdym datę i miejsce powstania, o czym niestety zapomniano. Wtedy życie i twórczość Gogola zlewałaby się w umyśle czytelnika w harmonijny obraz. W najgorszym razie należało utwory połączyć tematycznie (np. opowiadania fantastyczne, sztuki sceniczne itp.). Zastosowany układ nie daje się niczym wytłumaczyć.

Gogol urodził się i wychował we wsi ukraińskiej, której urok, krajobraz i obyczaje odtworzył z niezrównanym artyzmem przede wszystkim w „Wieczorach na chutorze koło Dikańki", a zaznaczał w większości utworów. Dwudziestoparoletni pisarz, choć od dzieciństwa zdradzający skłonności samotnicze, bez przyjaciół i towarzyszy zabaw, nie widzi jeszcze złych stron życia w całej ich rozciągłości, w sercu jego nie wezbrał jeszcze gorzki jad bolesnych doświadczeń, przeświadczenia o nikczemności istniejących stosunków. Pierwsze opowiadania, przesycone fantastyką i czarem przyrody, obrazują życie wsi, obyczaje i wierzenia jej mieszkańców, są pełne zadumy i wesołości, a jednocześnie dźwięczą całą gamą skocznych i na przemian smętnych dźwięków, jak dumki i szumki ukraińskie. Już w tych utworach zaznaczają się walory języka Gogola: melodyjność frazy wskutek sharmonizowania rytmu i odpowiedniego doboru wyrazów, jędrność i soczystość określeń przy użyciu lapidarnych środków, potoczystość i zarazem zwartość stylu oraz połączenie liryzmu i realizmu z uniknięciem naturalistycznej przesady. Dowcip skrzy się w tych opowiadaniach, jak rosa na trawie w słoneczny ranek. Z czasem nic nie tracąc na jakości rosa ta zmieni się w kłujący szron goryczy. Dowcip Gogola będzie wtedy drażnić i piec, by rozjątrzyć rany i ukazywać je światu. Ale w pierwszych utworach tylko bawi, zachwyca, zdumiewa.

Własnoręczny rysunek Gogola

WKRÓTCE Gogol zaczyna spostrzegać straszliwe zacofanie społeczne swego kraju, niesprawiedliwość i krzywdy, upodlenie moralne, znieprawienie charakterów. Oczy otwierają mu się coraz szerzej. Od tej chwili dowcip zmienia się w satyrę, która staje się w rękach pisarza karzącym biczem, by chłostać nim ludzi i ich postępki. Drwina jest tym celniejsza, że jak nader słusznie podkreśla Maria Dąbrowska: „Najwalniejszym chwytem satyrycznej charakteryzacji jest u Gogola pozowanie pewnego rodzaju życzliwości dla swych łajdaków lub nierobów. Bez osądzania ich, bez taniego morału, wielki pisarz tylko ich mistrzowsko demonstruje, a wyrok w sercu czytelnika czy widza jest już gotów". (Maria Dąbrowska: Lira Karząca, „Nowa Kultura" Nr 11/103 z dn. 16.3.1952 r.). Dla zilustrowania powyższego sądu wystarczy choćby zwrócić uwagę na niezrównany opis (w t. II, str. 306 i 307) różnych rodzajów grzeczności w Rosji carskiej, przeistaczania się urzędników w zależności od tego, czy mają do czynienia z wyższymi czy niższymi od siebie rangą.

Szczytowym punktem wspaniałej satyry Gogola są „Rewizor" (1835) i „Martwe dusze" (1842). Błahe tematy są osnową, na której Gogol z maestrią haftuje obraz społeczeństwa rosyjskiego. Obserwacje jego dokładne, ale nie gubiące się w szczegółach czy drobiazgach, uderzają niezwykłą trafnością. Wszystkie występujące osoby są typowe, ale nie szablonowe. Gogol rozszerza swą krytyczną obserwację również na przedmioty martwe choćby zegar w „Martwych Duszach" i zwierzęta (np. psy, konie tamże lub kotka w „Staroświeckich ziemianach". Zdradza również znajomość psychologii dziecięcej (Temistoklus i Alcydzio w „Martwych duszach").

Wyszydzając i ironizując potrafi jednak Gogol zrozumieć nędzę ludzkiego istnienia i współczuć jej. I tak np. w „Szynelu" zdobywa się na słowa pełne litości i współczucia dla biednego wyzyskiwanego Arkadiusza. „Przestańcie, czemu mię krzywdzicie?" (t. I, str. 237). To pytanie, zwrócone do żartujących zeń kolegów, brzmi nam w uszach jak wyrzut pod adresem ustroju, stwarzającego ciemiężycieli i ciemiężonych, ustroju, który zabija twórczy rozwój i zamyka ludzi w tępej bierności.

Gogol, niestety, nie wskazuje wyjścia z tragicznej sytuacji. Widzi i przestrzega, ale nie podaje sposobu ocalenia. Może, gdyby nie postępująca stale choroba, która uniemożliwia dalszy rozwój pisarza, rozwiązanie takie znalazłby w projektowanych dalszych częściach „Martwych Dusz". Tom I kończy się bardzo znamienną wizją (II, 514):

„Czyż nie tak samo i ty, Rosjo, pędzisz jak dzielna nieprześcigniona trójka? Dymem dymi nad tobą droga, grzmią mosty, wszystko oddala się pozostając z tyłu. Zatrzymał się patrzący, zdumiony cudem boskim: czyż to nie błyskawica, rzucona z nieba? Co oznacza ten wzbudzający przerażenie pęd? I jakaż niewiadoma siła jest zawarta w tych nieznanych światu koniach? Hej, konie, konie — co za konie! Czyż wichry macie w swych grzywach? Czyżby czujne ucho płonęło w każdej waszej żyłce? Usłyszały z wysokości znajomą pieśń — zgodnie i razem wytężyły miedziane piersi i prawie nie dotykając ziemi kopytami zamieniły się jakby w wyciągnięte linie lecące przez powietrze. Ona mknie, przez Boga natchniona! ...Rosjo, dokądże pędzisz? Daj odpowiedź! Nie daje odpowiedzi. Cudownym dźwiękiem brzmi dzwoneczek; grzmi i staje się wiatrem rozrywane na strzępy powietrze; przelatuje obok wszystko, cokolwiek jest na ziemi, i patrząc z ukosa odsuwają się i dają jej drogę inne narody i państwa". W zdaniach tych wyczuwa się rytm wielkiej rewolucji.

Niestety od chwili wydania I tomu „Martwych Dusz" Gogol nie stworzył żadnej znaczniejszej pozycji. Trzy razy pisał nieszczęsny II tom i trzykrotnie sam go niszczył, ostatni raz już przed śmiercią.

Nowatorstwo Gogola polega przede wszystkim na tym, że on pierwszy zwrócił uwagę na życie biednych warstw ludności i wprowadził je jako temat do swych utworów, stając się przez to twórcą realizmu. Wskutek zaś negatywnego ustosunkowania się do współczesnej mu rzeczywistości realizm Gogola stał się realizmem krytycznym.

*

Na zakończenie parę luźnych uwag o przekładach. Tłumaczenia Broniewskiego i Tuwima świetne, wspaniale odtwarzają właściwości stylu Gogola. Brzęczkowski bez zarzutu. Wyszomirski bardzo dobry w partiach krajobrazowych, na ogół poprawny, nie uniknął parokrotnie rusycyzmów, jak np. „Wyższych kołach towarzyskich tacy oficerowie trafiają się rzadko, albo tak dobrze jak nigdy" („Newski Prospekt, t. I, str. 219).

---

1) Mikołaj Gogol: Utwory Wybrane. Złota Seria Literatury Rosyjskiej. Przełożyli z języka rosyjskiego Władysław Broniewski, Jerzy Brzęczkowski, Julian Tuwim, Jerzy Wyszomirski. Czytelnik 1950 i 1951. T. I/II, str. 362, 514.

SPROSTOWANIE

W nr. 19/337 naszego pisma w artykule Dominika Horodyńskiego pt. „Drogi Niemiec" na skutek pomyłki wydrukowano ...„przeżywamy okres epoki mieszczańskiej..." Powinno być: ...„przeżywamy kres epoki mieszczańskiej..."

Za tą przykrą pomyłkę przepraszamy autora i czytelników.

Halszka KRAJEWSKA

Z DYSKUSJI NAD RODZINĄ

W sprawie doboru w małżeństwie

PONIŻSZY artykuł p. Halszki Krajewskiej stanowi dalszy ciąg jej wypowiedzi zamieszczonej w numerze poprzednim. Redakcja uważała za właściwe zamieszczenie jej osobno ze względu na to, że stanowi ona odrębną całość jak i dlatego, że w ten sposób zostanie mocniej podkreślona waga poruszonego przez autorkę problemu, który dyskusję naszą rozszerza o nowy dotychczas nie poruszany element: etyki seksualnej jako warunku szczęścia małżeńskiego, a co za tym idzie właściwej atmosfery w rodzinie.

PRAGNĘŁABYM i ja dorzucić w dyskusji o rodzinie garść swoich własnych uwag i przemyśleń w nadziei, że przyczynią się one choć w małej cząstce do pogłębienia tak bardzo ważnego problemu.

Niewątpliwie kąt widzenia ekonomiczno społecznych przemian rodzinnych jest może najbardziej dziś rzucający się w oczy i ważności jego nie można negować, tym bardziej, że z nim wiąże się wiele innych przebrażeń, głębiej jeszcze sięgających w rdzeń rodziny

Ctóż chciałabym naświetlić na razie pobieżnie i rzutowo jeden z tych rdzennych, leżących u podstaw rodziny problemów, jakim jest jej początek — małżeństwo.

Uważam, że odrodzenie rodziny, myślę tu szczególnie o rodzinie chrześcijańskiej, może nastąpić tylko wtedy, jeżeli chrześcijanie zrozumieją głęboko sens chrześcijańskiego małżeństwa i potrafią wielkim wysiłkiem umysłu i serca stworzyć realne podstawy dla powstawania coraz szczęśliwszych małżeństw. Twierdzę, że małżeństwa współczesnych pokoleń są w bardzo dużym procencie nieudane.

Należy zastanowić się nad przyczynami tego zjawiska, wypracować pewne wytyczne, które by ułatwiały właściwy dobór w małżeństwie. Wytyczne te mogą już dziś znaleźć pewne podstawy naukowe.

Wydaje mi się, że my (myślę tu głównie o ludziach miasta) odeszliśmy w jakiś sposób od instynktu i stoimy obecnie w fazie zupełnej dezorientacji w doborze seksualnym. Popełniamy omyłki, za które płacimy całym życiem!

Często małżeństwo zamiast rozwijać osobowość ludzką łamie ją i przygniata. Chyba nigdy tak jak dziś ludzkość, po przebytych niepokojach wojny, nie tęskniła do zacisza domowego ogniska, do atmosfery harmonii i zrozumienia wzajemnego, do miłości i tkliwości, jaką powinna dać rodzina.

Niestety na przekór tęsknotom ludzkim, małżeństwo razem z całą cywilizacją, o której losie, z punktu widzenia chrześcijańskiego, tak ciekawie rozprawia, na podstawie bogatego materiału literatury obcej Al. Rogalski („Chrześcijańskie koncepcje kryzysu współczesnej cywilizacji", Życie i Myśl. 1951 r.) uległo kryzysowi. Kryzysowi nie tylko ekonomiczno-społecznemu ale i kryzysowi wewnętrznemu. **Kryzys wewnętrzny małżeństwa, kryzys moralny wydaje mi się najistotniejszy w całym problemie rodziny i od niego — według mego zdania — trzeba zacząć aby uzdrowić atmosferę rodziny i przywrócić jej godność.**

Nawiązując do rozprawy Al. Rogalskiego przytoczę za nim zdanie holenderskiego historyka filozofii i kultury Huizingi, burckharcisty z przekonań. (zmarłego w 1945 r.) wielkiego sympatyka chrystianizmu. W książce wydanej w 1935 r. stwierdza on: ....„że teoretyczną podstawą społeczności europejskiej, nienaruszoną niemal aż do wieku XVIII, była moralność chrześcijańska, stworzona zresztą nie tylko przez chrześcijaństwo, ale również przez myśl grecką, noszącą z kolei niezatarte ślady Wschodu", i dalej że, „Istotna groźba upadku norm moralnych wyłoniła się dopiero w okresie, gdy **potężna siła natury** postawiona została oficjalnie, jako **zasada moralności** obok słowa Bożego. Było zaś rzeczą zupełnie zrozumiałą, że wraz z moralnością chrześcijańską zaprzeczona została moralność obywatelska".

Wydaje mi się, że słowa te głęboko charakteryzują okres międzywojenny, w którym wnikliwy filozof holenderski upatruje już wyraźne ślady kryzysu współczesnej kultury mieszczańskiej, widząc go w ogólnym osłabieniu zdolności osądu, w upadku potrzeby krytycyzmu, w odwrocie od ideału poznawczego (choćby np. w nihilizmie egzystencjalistycznym), a **przede wszystkim w rozkładzie norm moralnych.**

Ten kryzys kulturalny nie mógł nie dotyczyć rodziny. Ustalone przez tradycję normy i zakazy, opinie i zwyczaje runęły pod falą nowych prądów. Okres po I wojnie światowej niósł nie tylko rozluźnienie obyczajów, ale wiązał się on z całym szeregiem nurtów i kierunków zarówno w filozofii jak w biologii, psychologii i medycynie, które służyły często za pseudo-naukowy grunt do szerzenia libertyńskich poglądów, odrzucających wszelką etykę i normy. W dziedzinie pedagogiki modny stał się kierunek zostawiający dziecku zupełną swobodę, niekrępowanie rozwoju, co w praktyce, prowadziło do wychowania egoistycznego zwierzęcia. To nazywało się kultem „instynktów".

Pojawienie się teorii Freuda z jej całą metafizyką podświadomości, z jej dopatrywaniem się seksualizmu we wszelkich przejawach życia, wycisnęło wybitne piętno na epoce. Panseksualizm, przed którym Freud się zarzeka, a który jednak tkwi w jego filozofii — odegrał wielką rolę w przejaskrawianiu znaczenia seksu w życiu człowieka.

....„Freud — pisze Bierdiajew — przypisuje swej Libido szczególną doniosłość uniwersalną i można mu zarzucić, że opracował panseksualną matafizykę". Freudyzm, który twierdzi, że wszelkie neurozy należy sprowadzać tylko do zaburzeń seksualnych (patrz prof. Dr Zygmunt Freud „Trzy rozprawy z teorii seksualnej"), który podkreśla jak zresztą i cała „psychologia głębi" — determinizm instynktu ,i jego tyranię, nie mógł sprzyjać rozwojowi moralności seksualnej.

Teoria Freuda stała się głośna i modna, biologia człowieka — **siły natury** stały się, jak mówi cytowany Huizinga, „zasadą moralności".

Teoria freudyzmu, zresztą genialna w pewnych odkrywczych dziedzinach, jak choćby w teorii wpływu dotąd niedocenionego, lat dziecięcych na wiek późniejszy i w odkryciu podświadomości — była skrajną reakcją na zaniedbanie spraw biologicznych człowieka, na obłudne pięknoduchostwo i odrywanie psychiki ludzkiej od jej fizjologicznego podłoża. Był to wybitny protest przeciw obłudzie i pruderii okrywającej płaszczem fałszu i milczenia sprawy tak ważne jak seksualizm ludzki. Ten brutalny protest stał się wielką rewelacją.

Skrajne postawienie zagadnienia seksualizmu przez Freuda stało się jednak wodą na młyn dla wybujałego indywidualizmu. Skrajny indywidualizm, egoizm, brak uczuć społecznych nie mogły sprzyjać rozwojowi rodziny. Toteż rodzina się rozprzęga. Coraz liczniejsze rozwody (może u nas nie tak jeszcze liczne jak w innych krajach Europy, a szczególnie w Ameryce) świadczyły o jej moralnym kryzysie. Zaczyna się mówić o doborze charakterów w małżeństwie, a najwięcej o doborze seksualnym, bo seksualizm stawia się w tym okresie na naczelnym miejscu. Na czym ten dobór lub niedobór seksualny miał polegać — nikt dokładnie nie wiedział.

W Ameryce bierze się śluby w klatkach z dzikimi zwierzętami (z braku innych silniejszych emocji) godność małżeństwa upada, rozwody stają się sprawą codzienną. Jako przyczyny rozwodów prasa amerykańska podaje: niedobranie charakterów. To zawsze łatwo stwierdzić, szczególnie wówczas gdy obydwoje małżonkowie są egoistami i za cel życia stawiają użycie, a nad swymi charakterami nie pracują. Powstaje chaos pojęć niesprzyjający bynajmniej ludziom dobrej woli i patrzącym poważnie na małżeństwo w odnalezieniu drogowskazów dla lepszego doboru zarówno psychicznego jak i fizycznego w małżeństwie. Głośna książka Van der Velde'a „Małżeństwo doskonałe" miała odbudować szczęście w małżeństwie.

Bardzo to charakterystyczne dla mentalności i atmosfery tego okresu. Odbrązowianie wielkości aż do cynicznego nieraz braku kultu dla prawdziwych wartości ludzkich ośmieszanie tego co kultywowały wieki, nieraz już od starożytności począwszy. Kult dziewicy staje się przedmiotem drwin, a dziewictwo czymś niepotrzebnym. Działalność wybitnego tłumacza — Boy'a Żeleńskiego — na polu moralności seksualnej budzi duże zastrzeżenia. Życie seksualne rozpoczyna się wcześnie. Może u nas nie tak wcześnie jak w przodującej w wynaturzeniu Ameryce. Kobiety starają się dorównać w liberalizmie mężczyznom. Lindsey ogłasza swoją rewelacyjną książkę p.t. „Małżeństwa koleżeńskie", w której opisuje liczne wypadki pożycia seksualnego wśród dzieci w Ameryce.

Dla zapobieżenia pozamałżeńskiemu życiu seksualnemu, dla uniknięcia pomyłek w doborze małżonka proponuje sędzia Lindsey małżeństwo próbne. koleżeńskie. Książka Lindsey'a narobiła wiele hałasu nie tylko w Ameryce ale i u nas. Znalazła wielu zwolenników i entuzjastów. Czy rozwiązała sprawę moralności seksualnej w świecie cywilizowanym, czy wytyczyła drogę dla ujęcia instynktu w ramy, które pozwalałyby na zgodne i piękne przeżycie miłości seksualnej. Przestało się o tej książce dziś mówić, jej rewelacyjność straciła na sile, jak i na sile stracił panseksualizm Freuda, czy cynizm Boy'a, ale skomplikowane i trudne zagadnienie pozostaje wciąż nierozwiązane.

Ze strony katolików panuje dziwnie niezrozumiałe i uparte milczenie, jakby ciągle wstydliwe zakłopotanie wobec sprawy tak bardzo ludzkiej i ważnej. W okresie przemian, jakim ulega rodzina należało by te sprawy jeszcze raz zrewidować i przemyśleć. Wszystkim tym teoriom, które często w sposób uproszczony i prymitywny rozwiązywały skomplikowaną sprawę ludzką należy się właściwy osąd i zajęcie stanowiska. Lekarze katoliccy mają tu wielkie pole do działania. **Katolikom nie może być obojętne jaka moralność seksualna jest godna człowieka, jaka uszczęśliwia go i prowadzi do szczęścia w małżeństwie.**

Wszelkie teorie rozpowszechniane ogólnie twierdzące, że tylko ludzie doświadczeni seksualnie mogą osiągnąć szczęście w małżeństwie, podkopują wiarę katolików w czystość przedmałżeńską i dopominają się o silną z życia płynącą kontrargumentację. **Na tę kontrargumentację katolicy muszą się zdobyć w imię godności człowieka, który nie jest niewolnikiem instynktu**, jak tego chcą niektóre teorie oraz w imię godności małżeństwa, które nie może być kwestią przypadku „uda się lub nie uda".

Cały szereg ważnych życiowo zagadnień związanych z małżeństwem musi być dziś na nowo rozpatrzonych z punktu widzenia ostatnich zdobyczy wiedzy wszelkich dziedzin. Błędy okresu międzywojennego w tej dziedzinie muszą być odrzucone, aby nowe pokolenia, które nadejdą ich nie powtarzały.

W pochodzie żmudnych poszukiwań wskaźników dla drogi ku szczęściu małżeńskiemu i rodzinnemu, w którym osobowość ludzka odnalazłaby swoją pełnię — katolików nie może zabraknąć.

Halszka Krajewska

Zygmunt JAKIMIAK

Literatura czy forma muzyczna

P. Kisielewski, z którym już dawno nie dyskutowałem publicznie, znowu zachęcił mnie do dyskusji swoim artykułem o Beethovenie, który umieścił w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego" z dn. 23. III.1952 r. przy sposobności którejś tam rocznicy śmierci zmarłego od dawna, ale żywego dziełami mistrza. Zachęcił mnie do zabrania głosu nie tyle dość lekceważącym tonem, jakim mówi o Beethovenie, bo to mu wolno i zresztą muzyk o muzyku nigdy nie będzie pisał z uniesieniem zachwytu, tak samo, jak poeta o poecie, czy filozof o innym filozofie, albo rzeźbiarz o rzeźbiarzu. Zawsze to kolega, a nawet konkurent. Poza tym, sąd o muzyku jest zawsze dowolny, bo jest to sprawa gustu. Zresztą p. Kisielewski zdradza, moim skromnym zdaniem bardzo dobry gust, kiedy wyznaje że mu się podoba druga i ósma symfonia więcej, niż nieparzyste, zwłaszcza niż zakończenie sławnej dziewiątej symfonii. Ja akurat mam właśnie ten sam gust i mogę wyznać, że druga symfonia najwięcej mi się podoba ze wszystkich innych. Może dlatego, że jest tak mozartowska, tak spokojna, świeża i urocza, bez buntów i zgrzytów. Dlatego jednak również, że jest ona, podobnie jak ósma, najmniej beethovenowska, co w niczym nie szkodzi jej wartości i nie odbiera chwały Beethovenowi.

Ale mam ochotę do dyskusji dlatego właśnie, że p. Kisielewski wygłosił pewne rzeczowe zdania, które mają zbyt oczywisty charakter dowolnych przesądów, to znaczy twierdzeń nieumotywowanych, by nie pokusić się o ich bardziej zasadnicze omówienie. Spróbujmy, a nuż się uda przeprowadzić wyczerpującą analizę twierdzeń p. Kisielewskiego. Jest to śmiałe zadanie, bo termin „wyczerpująca analiza" mówi bardzo wiele, ale niby dlaczego bać się śmiałości? Czy śmiałość ma już zupełnie zginąć? Czy już musimy ją pochować? To byłoby zuchwalstwem.

Otóż p. Kisielewskiego oburza to, co już oburzało wielu innych snobów, mianowicie literackie pojmowanie muzyki Beethovena, tłumaczenie jego utworów tanim sentymentem i niezbyt bogatym obrazowaniem fantazyjnym. Domaga się on odrzucenia legendy, otaczającej trzecią, piątą i szóstą symfonię, bo jest to nie godne muzyki, którą należy tłumaczyć tylko formami muzycznymi, w której należy widzieć tylko umysłowe kombinacje dźwięków, będących same przez się jedynymi ważnymi elementami muzyki. Hasłem p. Kisielewskiego jest: „oczyśćmy muzykę z naleciałości niemuzycznych, wyzbyjmy się wszelkich obcych jej skojarzeń, a wtedy będziemy prawdziwiej rozumieć i głębiej wnikać w muzykę". Spodziewam się, że dość dobrze zrozumiałem i zreferowałem pogląd p. Kisielewskiego, który zamierzam rozpatrzyć analitycznie.

Wydaje mi się przede wszystkim, że p. Kisielewski może takie poglądy głosić, bo wszystko wolno publicyście, ale nie powinien się spodziewać, że im ktoś uwierzy lub zechce się od razu do nich stosować. Do tego potrzeba głębszych przemyśleń czytelnika, do których powinno mu się pomóc podaniem głębszych uzasadnień. To, że jakiś muzykolog powie, że tak jest, nie jest jeszcze dowodem, ani uzasadnieniem. Czy muzyka jest naprawdę tak sprzeczna z literaturą, tak jej obca, że nie można ich kojarzyć? Czy jest ona z innego świata, z innej planety? Przeciwnie, jest ona dziełem tego samego ducha ludzkiego, inny jest trochę jej język, zawiera ona jednak te same treści. Ale o tym potem. Na razie zwróćmy uwagę, że przeciwną liberalizmowi rzeczą jest narzucanie komuś takiego czy innego pojmowania. W dziedzinie pojmowania sztuki panuje wolność. P. Kisielewski napisał że te i te symfonie mu się podobają, a te i te mniej. To jest jedyny sąd w sztuce. Osobisty, mówiący o upodobaniach. Dlaczego ktoś nie ma mieć prawa literacko odbierać muzyki? Przecież w ten sposób o wiele szerzej może to dzieło pojąć, a przynajmniej więcej o nim powie, niż Kisielewski, który ma prawo powiedzieć tylko: podoba mi się ta i ta symfonia i przy tym wymienić tylko parę uwag z analizy gramatycznej dzieła. A skąd powstała legenda literacka do dzieł Beethovena? Z domysłów tylko? Nie, bo z wypowiedzi samego mistrza, z jego listów i napisów na rękopisach omawianych symfonii. A więc sam Beethoven po literacku pojmował swe dzieła. Czyżby i on nie miał do tego prawa? Czyżby i on był płytkim przeciętniakiem, nie umiejącym muzycznie myśleć, tylko po literacku?

ZASTANÓWMY się głębiej. Czy muzyka jest tylko bezmyślną, bezduszną kombinacją dźwięków? Czy swoją formą nic nie wyraża, poza formą zewnętrzną, poza linią melodii, układem współbrzmień, za którymi się już nic nie kryje? Mnie się zdaje że odwrotnie, że wszystkie kombinacje dźwięków służą tylko wypowiedzeniu się duszy, jej wzruszeń, przeżyć, dążności, porywów i pragnień. Wypowiada ona usposobienie, nastrój, wyśpiewuje spokój i zamieszanie, radość i ból, tęsknotę i pożądanie, szczęście i nieszczęście. Dzieło muzyczne jest jakby zagadką, rebusem, który słuchacz musi, powinien sam rozwiązać, żeby doznać podobnych wzruszeń i w taki sposób wzbogacić swoje przeżycia dzięki słuchanemu dziełu.

Czy literatura mówi o czym innym? O tym samym. Życie duszy domaga się wielu form wyrazu, języków ludzkich i anielskich, literatury, muzyki, rzeźby, malarstwa, architektury, wszystkich sztuk, jakie już są i jakie jeszcze będą stworzone, dla wypowiedzenia swego bogactwa. A już z tych sztuk najbliższe są sobie muzyka i literatura. Dlatego zapewne jedna zawsze starała się dopełnić druga. Czyste są wypadki podkładania słów do

(Dokończenie na str. 10)

DO P.T. CZYTELNIKÓW

Od dnia 16 maja 1952 r. zamówienia i wpłaty na prenumeraty pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat na prenumeratę do P.P.K. „Ruch" kierować nie należy.

Andrzej ODNOWA

Jeszcze o krakowskiej „Zemście"

UKAZAĆ na nowo arcydzieło Fredry — takie ambitne zadanie postawił sobie już w ubiegłym roku polski świat teatralny. Dyskusji wstępnej w tej sprawie poświęcony był osobny zjazd w Nieborowie. Wkrótce ośrodki teatralne Krakowa i Warszawy rozpoczęły prace nad nowymi inscenizacjami. Zapowiada się pasjonująca walka o „Zemstę" żywą i realistyczną.

Pierwszą nowatorską próbę podjął krakowski teatr im. Słowackiego. Nadchodzą już meldunki z tej premiery i budzą zrozumiałe zainteresowanie, czasem sprzeciw, niekiedy zachęcają do polemiki.

W swej recenzji, zamieszczonej na tych łamach, Alina Świderska nie zdobyła się na wyraźną ocenę nowej inscenizacji, dała co najwyżej wyraz swemu sceptycyzmowi. Mimo to obawiałbym się, że skrzywdziła wykonawców, nie dostrzegając pewnych elementów i cech przedstawienia lub komentując je dziwnie opacznie.

Świderskiej nie podoba się oprawa plastyczna **(B. Kamykowskiego;** recenzentka konsekwentnie pomija nazwiska) oprawa, deklasująca społecznie współwłaścicieli zamku. Wskazuje Świderska, że ich zamożność jest jakoby podkreślana w „Zemście" na każdym kroku, powołuje się na nagrody w złocie dla Papkina. Lecz równocześnie zapomina, że Rejent, może nie tylko z wyrachowania, zalega z robocizną murarzom; że Podstolina, zrujnowana finansowo, jest na łasce swej wychowanicy; że posag jest i dla Rejenta, i dla Cześnika łakomym kęsem, a końcowe rozliczenie odgrywa ważną rolę w wymiarze komediowej sprawiedliwości. Zapomina wreszcie, że po rozbiorach sytuacja szlachty stale się pogarszała i obraz podupadłego, jak to ukazał scenograf krakowski, gniazda szlacheckiego był aż zbyt częsty, a wkrótce stał się ulubionym obrazem romantycznym.

Lecz Świderska nie zdaje się interesować umieszczeniem „Zemsty" w ramach określonego rozwoju społecznego. A przecież Fredro, realistyczny i bystry obserwator, musiał przejawy tego rozwoju dostrzec i zanotować. I choćby nawet autor nie miał świadomej intencji demaskatorskiej, narzuca się ona dzisiejszemu widzowi i to jego odczucie musi współczesny inscenizator uwzględnić.

Kleiner już dawno temu ukazał antyromantyczne ostrze „Zemsty", a w takich motywach jak: sporu dwóch rodów, walki o zamek, oświadczyn i ślubów „rycerskich", porwania — dostrzegał nie bez słuszności komediową parodię romansu sentymentalno-rycerskiego. Próby tzw. „groteskowego" ujęcia scenicznego „Zemsty" polegały właśnie na tych osiągnięciach badawczych. Dziś to, co wydobyto z literackiej genezy „Zemsty", podmurowuje się realistyczną analizą tła społecznego. Obok momentów antyromantycznych widzimy dziś w „Zemście" — obojętne, w zgodzie z autorem, czy wbrew niemu — momenty antyfeudalne. Wydaje się, że komizm „Zemsty" winien wystąpić przez to tym silniej.

Kontrast podtrzymywanych przez szlachciurów z tej komedii pretensji społeczno - towarzyskich i rycerskich oraz całej „nadbudowy" psychologicznej, a z drugiej strony zmieniających się warunków gospodarczych ich życia, wnosi moment anachronizmu i potęguje śmieszność osób i wydarzeń komedii. Cześnik, Podstolina. Papkin w dużym stopniu śmieszni są przez to, że bardziej lub mniej serio reprezentują coraz więcej dezaktualizujący się styl życia feudalnego I to w najrozmaitszym wydaniu: dworkowo - sarmackim, „patriarchalnym". (Cześnik), rokokowo - salonowym (Podstolina) czy zupełnie już zdeklasowanym i kabotyńskim (Papkin). Przy uwzględnieniu takiego historyczno-społecznego współczynnika w inscenizacji „Zemsty" komizm jej osób i wydarzeń rozszerza się jeszcze bardziej, przenosząc się również na całe otoczenie rzeczy martwych: na stare zamczysko z dziurawymi basztami, na wnętrza z uginającymi się belkami, na sarmackie konterfekty przodków, na meble, zbroje i stroje.

Tak to wszystko ukazała scenografia Kamykowskiego. Lecz tego właśnie nie dostrzegła, jak się zdaje, Świderska. Scenę z karykaturalnie długim pasem słuckim, tę paradną scenę mimiczną, którą „marszałek" Dyndalski odgrywa z Cześnikiem, Świderska bierze serio i dziwi się jedynie, że ten staropolski aparat nie najlepiej zgadza się z „nowym spojrzeniem" na Fredrę. Podobnie chwaląc grę Podstoliny **(Z. Tymowska)** zauważa jednak, że jej kostium „zatrącał o karykaturę". Ależ o to właśnie chodziło!

Wydaje się, że Świderska w ogóle nie uchwyciła żartobliwego, ironicznego zamysłu reżysera. Recenzentka widzi postacie komediowe Fredry nie na tle schyłku feudalizmu, lecz jakby — na tle pełnego jego rozkwitu, i nie jako postacie śmieszne, lecz niemal poważne. Cześnik to tylko sympatyczny raptus, nie luminarz, ale i nie głupi, dostojny (sic!), choć z wybuchami pasji. Podoba się recenzentce w przedstawieniu, a może raczej wprost w komedii, taka kwestia z staropolskiego koturnu jak owo Cześnikowe „Nie wwódź mnie na pokuszenie, Ojców naszych wielki Boże", odwrotnie, do **A. Karzyńskiej** wnosi pretensję o nie dość wyraźną kwestię Klary do Wacława: „Wszędzie z tobą prócz w niesławie". Niewątpliwie, przez cały wiek celebrowano na scenie komedie Fredry w duchu podobnego staropolskiego patosu, lecz w zamierzeniu komediopisarza, atakowanego o brak polskości jego komedii, momenty przytoczone były zapewne jedynie ustępstwem na rzecz narodowego sentymentu i zresztą — wyłomem w jednolitym stylu komediowym. Świderska, wspominając kreacje fredrowskie XIX w., pozostaje nadal pod urokiem tego dawnego Fredry, namaszczonego, uroczystego i to niewątpliwie przeszkodziło jej w pełni docenić przedstawienie krakowskie.

Jego zalety nie leżały w wykonaniu aktorskim, było ono na ogół dość słabe, walor główny tkwił w koncepcji reżysersko - inscenizacyjnej **Henryka Szletyńskiego.** Koncepcja ta przebijała się nader wyraźnie nawet wśród nieporadności niektórych ról. Kilka więc słów o tym niechaj uzupełni recenzję A. Świderskiej.

Szletyński pokazał nam Fredrę wesołego, ironicznego, z licznymi partiami parodiowymi i karykaturą. Długie statyczne sceny mimiczne na początku aktów podkreślały „miniono-ność" spraw komedii, zastyganie nad nimi czasu. Rozciągłe jak w filmie „au ralenti" obrazy te wprowadzały w nastrój powszechnej intelektualnej drzemki w domu Cześnika (czasem z szeptaniem zdrowasiek z różańcami w ręku, kiedy indziej z ślęczeniem nad epistołą), to w staropolską ceremonię z pasem słuckim, to w dryl panujący w domu Rejenta. Celowe ukazywanie w tych „obrazach" hierarchii społecznej postaci, zestawianie szlachty i służby dawało interesujące akcenty społeczne.

Cześnika **(E. Fulde)** przedstawiono widzowi odwrotnie, niżby to chciała Świderska, wcale nie dostojnie, przeciwnie satyrycznie, nawet karykaturalnie. W rubasznej, pełnej grymasów mimice, w głosie krzykliwym, który tak recenzentkę raził, w stroju sypialnym, w jakim w jednym akcie pojawia się Cześnik, była wyraźna metoda. Maska Fuldego była jakby wyrwana z autentycznego portretu wygolonego kontuszowca. W interpretacji wiersza nie zawsze wiedziało się, co położyć na karb zamysłu reżyserskiego, a co przypisać błędom wykonania. Ogólnie, w wierszu jakby umyślnie nie potoczystym, urywanym, wyczuwało się dążność do podkreślenia tępoty i prymitywnego witalizmu Cześnika.

Mniej wyraźnie ujawniły się zamierzenia reżysera w postaci Rejenta, która wyraźnie nie „leżała" **T. Białoszczyńskiemu,** może zbyt demonicznemu, a za mało komicznemu. Papkin **(H. Krzycki),** wystylizowany jakby na ironiczne uosobienie pruskiego „drangu", z czapką trójkątną à la Fryderyk II, z wyrzutem nóg jak u hitlerowców, miał momenty b. ciekawe, ale złe przejścia. Lepszy był zresztą w samochwalstwie przed damami aniżeli w tchórzostwie wobec Cześnika czy Rejenta. Doskonały Dyndalski **(M. Jastrzębski),** na pozór najbliższy ujęciu tradycyjnemu, miał sporo momentów nowych: sukmanę długą aż do ziemi, arcyśmieszną przy jego wzroście niziutkim w zestawieniu z Cześnikiem, komicznie skrzeczący kobiecy głos, nieśmiałość wobec swego pana, zidiociały, powolny ruch głowy.

Postaciom potraktowanym ironicznie przeciwstawił reżyser postacie młodych, ale i te ujął jakże inaczej od sugestii Świderskiej. Przełom w interpretacji tych ról nastąpił już w „Zemście" poznańskiej z ub. r. I tu Klara niewiele miała wspólnego z wzorową sentymentalną amantką, była wesołą, sprytną, nowoczesną dziewczyną, uosobieniem życia na tle bezruchu i martwoty domu Cześnika. Kiedy zamyka okiennicę, aby nie widziano jej spotkania z ukochanym, przekonujemy się, jak wszechstronnie pomysłowa była w przedstawieniu reżyseria Szletyńskiego.

Takich przejawów czujności reżyserskiej, pomysłów nowych można by wyliczyć jeszcze sporo, m. in. w scenach z murarzami, śpiewającymi okrakiem na murze, w rendez-vous młodych, w modlitwach Papkina do sakiewki, w naturalnym, niepatetycznym potraktowaniu kwestii o „pani Barskiej" i o zgodzie, wreszcie w samym zakończeniu, rozwiązanym swobodnie, bez tradycyjnych uścisków i kordialności.

Świderska ma w jednym całkowitą rację: kiedy nie uważa przedstawienia krakowskiego za skończone i bezsporne osiągnięcie. Nierówność poziomu wykonawczego rzucała się w oczy, nawet w oprawie scenograficznej. Inscenizacja krakowska „Zemsty" przyniosła jednak z gruntu nową koncepcję ogólną arcydzieła Fredry, koncepcję opartą na trafnym przemyśleniu momentu historycznego i popartą wielką ilością nowych szczegółowych pomysłów reżyserskich, niezwykle odświeżających przedstawienie. Wydaje się, że w dalszej walce o „Zemstę" żywą i realistyczną, „Zemstę" bliską dzisiejszemu widzowi, inscenizatorzy i reżyserzy nie będą mogli przejść do porządku nad tym poważnym wkładem myśli twórczej, jaki przejawił się w „Zemście" krakowskiej anno 1952.

Andrzej Odnowa

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

WIECZORY POD LIPĄ

„Jak cię widzą"

JAK cię widzą, tak cię piszą — mawiali starzy Polacy. I uważali, że naturalną konsekwencją zasady wyrażonej w tym przysłowiu jest nakaz sformułowany krótko a lapidarnie: „Zastaw się, a postaw się". No, i „stawiali się": jaśniepańskie rezydencje, pocztowe karety, brylantowe guzy przy żupanach, na ucztach góry mięsa, rzeki wina i miodu. Kto się w ten sposób nie mógł „postawić", pysznił się przynajmniej mnogością posiekanych w pojedynkach łbów, umiejętnością wypróżnienia jednym haustem garncowego kufla lub zjedzenia niecałki ulęgałek (o czym mówi człowiek wielce bywały i ze wszech miar na zaufanie zasługujący, pan Zagłoba herbu Wczele). Panowie bracia obdarzeni przez naturę rozumem politycznym i wolą służenia „towarzystwu" zwykli chlubić się ilością kondemnat ogłoszonych na nich przez trybunały, burd wywołanych na sejmikach, lub zgoła — zerwanych sejmów.

Ha, cóż? Było, minęło. Ale „stara, dobra" tradycja żywie po dziś dzień. I to nie tylko wśród jej spadkobierców w linii prostej. Wielu spośród nich bowiem nauczyły statku i rozumu przeciwności fortuny. Wszelako szacunek dla „szerokiego gestu", dla blichtru wystawianej na pokaz „pańskości" pozostał i — co gorsza —czepił się mózgownicy niejednego „łyczka" lub nawet „człeka z gminu", mącąc mu jasny sąd o rzeczach, każąc podrygiwać i szastać się fircykowato w nieudolnym naśladowaniu cudzego stylu życia i bycia.

Głupstwo ma twardy żywot. Przetrwało „rzeczpospolitą szlachecką", przetrwało demokrację mieszczańską i dopiero teraz — zmywane potężnym nurtem historii — zaczyna dogorywać i więdnąć. Ale ma ono naturę złośliwego chwastu: czepia się zajadle i rozpaczliwie najmniejszego skrawka, jako tako urodzajnej gleby, odrasta z niewyplewionych korzonków, choćby nawet najdrobniejszych i najnędzniejszych. Wciska się wątłą łodyżką między masywne głazy wrogiej mu rzeczywistości i wegetuje. Wegetuje, ale przecież trwa. I to pozwala mu żywić nadzieję, że przetrwa. Zepchnięte na nieważny dziś margines życia, wtłoczone w groteskowe formy naiwnych snobizmów towarzyskich i kawiarniano-kulturalnych, w głupawe małpiarstwo importowanych (z Zachodu, ach, z Zachodu!) mód, trzyma się gruntu jak może. Ledwie dyszy, ale jeszcze trwa. Jeszcze powiewa ostatni jego sztandar: „paryski" krawat „bikiniarza".

Zanim w przyszłym Panoptikum Cudactw (czy pomyślano już o urządzeniu czegoś takiego?) stanie ostatni w Polsce „bażant", starannie wypchany (trocinami) i uczesany „w mandolinę" (na białko), upłynie jeszcze prawdopodobnie trochę (choć niezbyt wiele) czasu. Pozostawmy więc na razie ostatnich polskich Siouxów w spokoju i wróćmy do punktu wyjścia, do owego: „Jak cię widzą, tak cię piszą".

Tym razem podejdźmy do zagadnienia od innej strony. Przed paru laty byłem na sztuce Salacrou „Noce gniewu". Jeden z bohaterów tej sztuki mówi (cytuję z pamięci, więc za dosłowną dokładność cytatu nie ręczę): „W czterdziestym roku życia człowiek jest odpowiedzialny za swoją twarz". Otóż to: Człowiek jest odpowiedzialny za swoją twarz. Nie za jej kształt oczywiście, nie za proporcjonalność czy nieproporcjonalność budowy, barwę oczu, wykrój ust. itd. Każdy z nas pamięta jednak, że zdarzyło mu się widzieć twarze z punktu konwencjonalnych pojęć o „ładności" brzydkie, a przecież miłe, wzbudzające zaufanie, jak również twarze niby bardzo „ładne" a mimo to rażące jakimś odpychającym wyrazem lub też pozbawione wszelkiego wyrazu.

A formy zachowania? Bywają ludzie, rozpętujący wobec znajomych, z którymi nic ich właściwie nie łączy, istną orgię towarzyskiej uprzejmości. I często zdarza się, że usadzeni na najwygodniejszych fotelach, zasypywani gradem pytań o zdrowie własne oraz zdrowie bliższych i dalszych krewnych, adorowani gestem i okadzani słowem, odczuwamy tylko głębokie zażenowanie. Rozmawiamy niepewnym tonem, poprzestając na wyciąganiu z lamusa pamięci wszelkich konwencjonalnych komplementów i uprzejmościowych frazesów, niezdolni ruszyć krokiem nawet po-a granicę utrzymanej w „dobrym tonie" towarzyskiej paplaniny o niczym.

Bywają zaś tacy, z którymi rozmawia się dobrze, poważnie, rzeczowo, chociaż w ich zachowaniu nie podobna odnaleźć ani śladu przymilnych umizgów, ani jednego gestu nadskakującej ultrauprzejmości.

W tym rzecz, że wyraz twarzy, że gest człowieka, że jego sposób bycia reprezentują w pewien sposób jego wnętrze. Spod rysów jakby wzorowanych na arcydziełach rzeźby może wyzierać jałowa bezmyślność; jakaś przesada, jakiś odcień sztucznej afektacji w czyimś zachowaniu ostrzega nas o nieszczerości danej osoby. Przeżywanie tego rodzaju wrażeń przypisuje się często tzw. intuicji. Z powodzeniem jednak można takie zjawiska opisać i wyjaśnić w terminach naukowej psychologii bez uciekania się do tajemniczych a niezbyt określonych intuicji pozaświadomościowych. Nie ma jednak powodu, by rozwodzić się nad tymi sprzecznościami interpretacyjnymi. Fakt faktem, że zewnętrzny wygląd i zachowanie się człowieka pozostają w pewnym (chociaż dotąd jeszcze nie dającym się ściśle określić) związku z jego życiem wewnętrznym, że je w pewien sposób wyrażają.

Z tego punktu widzenia rozpatrywana zasada „Jak cię widzą, tak cię piszą" nabiera nowego znaczenia. Spoza normy obyczajowo-towarzyskiej, sugerującej konieczność liczenia się z przyjętymi konwencjami form bytowania i zachowania się, wychyla się nor a moralna: pamiętaj, że twój sposób myślenia i postępowania odciska piętno na twojej całej istocie. Dusza może oprzeć się chorobie ciała, ale choroba duszy wżera się nieuchronnie w ciało, przegryza jego tkanki i kształtuje w śmiertelną maskę „śmierci wtórej".

„Hola, panie kaznodziejo, to felieton a nie wielkopostne kazanie!" Pewnie, felieton, i dlatego właśnie ważne zagadnienie zostało w nim zademonstrowane na faktach i poglądach wziętych z codziennego życia. Bo będzie to bardzo poczciwie i szlachetnie z waszej strony, jeśli zwrócicie Ziutkowi uwagę, że nosi „niegustowne" skarpetki, a Lolowi, że ryby nie jada się nożem, ale ostatecznie te ich uchybienia to detale, zwłaszcza, jeżeli np. Ziutek jest dobrze zapowiadającym się poetą, Lolo zaś zdolnym agrotechnikiem. Ważniejsza daleko jest jednak umiejętność odczytywania z twarzy i zachowań się ludzi wewnętrznych fałszów i braków oraz umiejętność pomagania bliźnim w takich właśnie wypadkach.

Najlepiej jednak zacząć od dokładnego przypatrzenia się sobie samemu w lustrze. Sztuka Salacrou nie zachwyciła mnie bynajmniej, w tym jednak przyznaję mu zupełną słuszność: „Człowiek jest odpowiedzialny za swoją twarz".

Bogumił Kolce

Leszek Prorok

Na drogach teatru ochotniczego

I.

NA UPOWSZECHNIENIE sztuki teatralnej w naszym społeczeństwie składają się dwa zjawiska. Jedno przejawia się w coraz to większym poszerzeniu zakresu oddziaływania teatrów zawodowych, przede wszystkim przez rozbudowę sieci przedstawień objazdowych

Drugie to teatr ochotniczy zespołów świetlicowych, prowincjonalnych domów kultury, zespołów Zw Zawodowych, rozwijających się najlepiej i wreszcie wiejskich zespołów Zw. Samopomocy Chłopskiej. O rozmiarach tego ważnego zjawiska społeczno - kulturalnego, uchodzącego nieraz w całokształcie uwadze obserwatorów, świadczy udział setek tych zespołów w Festiwalu Sztuk Polskich Festiwal, stanowiący świetlicową kontynuację zeszłorocznego Festiwalu Sztuk Współczesnych w teatrach zawodowych, dobiega obecnie końca. Z ponad tysiąca zespołów, które w całym kraju zgłosiły uczestnictwo w tej olbrzymiej imprezie kulturalnej, kilkaset przebyło szczęśliwie eliminacje powiatowe w lutym br. Niedawno ukończone eliminacje na szczeblu wojewódzkim wyłoniły najlepsze i najciekawsze zespoły, z których CRZZ zakwalifikowało uczestników na ogólnopolskie eliminacje teatrów ochotniczych, jakie w kwietniu br. odbyły się w Warszawie.

Kilkudniowe eliminacje wojewódzkie dały wszechstronny przegląd dorobku artystycznego teatrów amatorskich. Zarówno dobór repertuaru, jego opracowanie i inscenizacja, postawa zespołu i jego aktywność w terenie, jak wreszcie niedawno ogłoszone wyniki dotychczasowych eliminacji, prowadzą do nader ciekawych wniosków. Warto poświęcić nieco uwagi ich analizie.

Większość zespołów, uczestniczących w festiwalu, ma już za sobą długą listę przedstawień i to nie tylko w macierzystym zakładzie pracy, lecz również w widowiskach otwartych dla szerokiej publiczności, dla wojska, czy szkół Nierzadkie są wyjazdy zespołów miejskich na wieś, lub teatralne patronaty nad wybraną gromadą lub PGR-em. Choć często rodzi to niebezpieczeństwo rutynizacji pracy aktorskiej, poszerza jednak znacznie zasięg oddziaływania sceny amatorskiej.

W porównaniu do lat ubiegłych bez wątpienia daje się zauważyć podwyższenie poziomu gry i większa staranność w opracowaniu materiału scenicznego. Wiele zespołów wyszło już dawno poza poziom tzw. „amatorszczyzny", którą niesłusznie uważa się za nieodłączną cechę zespołów ochotniczych, zwłaszcza prowincjonalnych. Teatr samorodny umożliwił rozwój naturalnych uzdolnień artystycznych, częstszych niż się naogół sądzi i prowadzi do najwyższych osiągnięć w tej dziedzinie sztuki, podczas gdy, „amatorszczyzna" jest pewnego rodzaju maniera.

Przegląd przedstawień eliminacyjnych wykazał niezbicie, że teatr ochotniczy może nie tylko dorównać scenie zawodowej lecz nawet ją przewyższyć. Dzieje się to z reguły wtedy, gdy sam udział w przedstawieniu staje się dla członków zespołu nie zabawą czy wyłącznie rozrywką lecz głębokim przeżyciem artystycznym. Potwierdziły to poznańskie eliminacje wojewódzkie, na których pokłosiu opieram niniejsze wywody. „Awans" Żółkiewskiej w wykonaniu pracowników Eksp. Centrali Tekstylnej czy „Tysiąc Walecznych" Rojewskiego w dynamicznej, młodzieńczej realizacji zespołu Przemysłowego Zjednoczenia Budowlanego były przedstawieniami, których amatorom mógł pozazdrościć teatr zawodowy. Nawet najmłodsze i najbardziej od zawodowych środowisk oddalone, a więc pozbawione fachowej pomocy i wzorów, zespoły PGR-ów dawały przedstawienia, które szczerością przeżycia, brakiem afektacji, szarży oraz nienaturalnego patosu (przynajmniej w pewnych kreacjach) dorównywały wysokim poziomem scenie zawodowej np. jednoaktówka „W rodzinnym domu" w realizacji pracowników (głównie fizycznych) Państw. Gosp. Rolnego Gościejewice pow. Chodzież.

Pochwała poziomu nie oznacza jednak bezkrytycznego podejścia do materiału, jaki ukazały eliminacje. Oprócz usterek marginesowych, łatwych do opanowania, przegląd przedstawień festiwalowych uwypuklił pewne zasadnicze braki teatru ochotniczego w dobie obecnej. Braki te najwyraźniej wystąpiły, gdy porównywało się te same pozycje repertuarowe w wykonaniu różnych zespołów.

Najsłabszą stroną przedstawień zespołów ochotniczych jest z reguły reżyseria Samorodnych uzdolnień aktorskich nie brak w terenie. Kostiumy i dekoracje są na tej scenie momentem drugorzędnym W małych miastach prowincjonalnych zależą najczęściej od okoliczności całkiem przypadkowych np od wysokości subwencji uzyskanej na dekoracje z zasobów akcji kulturalno - oświatowej zakładu czy ORZZ lub też od tego czy w okolicy znajduje się zdolny plastyk czy tylko dyletant. Te obiektywne trudności muszą być brane pod uwagę dla wyrównania niezawinionej różnicy w wyposażeniu zespołów.

Inaczej jednak przedstawia się kwestia reżyserii Jest to centralne zagadnienie sceniczne szczególnie ważne na gruncie teatru amatorskiego, gdzie rola reżysera rośnie wskutek braku doświadczenia aktorskiego Do jego zadań należy nie tylko koncepcja realizacyjna sztuki Te zresztą najlepiej podpatrzyć w teatrze zawodowym, jeśli zachodzi zbieżność repertuarowa, jak było z „Wodewilem Warszawskim". Reżyser musi nieporównanie więcej uwagi poświęcić organizacji ruchu na scenie, a nawet dykcji gestykulacji aktorów, aby uniknąć martwych, pustych miejsc w temple akcji Operowanie zespołem na scenie, zgranie całości nastręczyło najwięcej uwag, choć w wielu sztukach było bezbłędne.

Zagadnienie pomocy reżyserskiej w terenie jest zagadnieniem niełatwym. Specjalista w tej dziedzinie nie bowiem nie tylko wyprowadzić młode zespoły z nieporadności prymitywu, ale równocześnie musi zwalczać często szkodliwy posiew teatru zawodowego w terenie. To ostatnie zjawisko, coraz bardziej doniosłe w miarę rozwoju zespołów ochotniczych, nie jest należycie doceniane przez realizatorów i działaczy teatru zawodowego.

II

TEATR zawodowy większych miast prowincjonalnych staje się naturalnym prawzorem i praźródłem form teatralnych dla całego regionu. Narzuca wielu teatrom ochotniczym nie tylko ogólna koncepcję przedstawienia, lecz i sugestie rozwiązań pewnych typów aktorskich, pewnych zagrań, gestów, ruchów. Oczywiście przede wszystkim występuje to tam, gdzie mamy do czynienia ze zbieżnością repertuaru. W minionych eliminacjach wojewódzkich zjawisko to zilustrowały najlepiej przykłady „Wodewilu warszawskiego". Kolejne wcielenia aktorskie prawzoru przedstawienia zawodowego można było obserwować wiele razy.

Naśladownictwo sceny zawodowej nie jest w zasadzie uchybieniem. Teatr stały winien odgrywać rolę przewodnika dla scen świetlicowych. Niestety, równie łatwo jak rozwiązania twórcze i wartościowe przenikają do przedstawień amatorskich wady inscenizacji i fałszywe ujęcia. W omawianym przykładzie zaciążył nad wodewilami kabaretowy styl scen zawodowych; a stało się to widoczne szczególnie przy wykonaniu „zabawy murarskiej", przechodzącej miejscami w „girlaskowość". Raziło to na scenie amatorskiej i utrudniało ukazanie ludowego dorobku tanecznego, którym dysponuje większość świetlic terenowych. Tam, gdzie reżyser-amator zdecydował wyłamać się z konwencji, narzuconej przez przedstawienia zawodowe, otrzymaliśmy realizację tegoż wodewilu niebanalną i twórczą. W zakresie nowej koncepcji typów scenicznych zaprodukował to zespół Zakł. Graficznych z Gniezna, a w zakresie scen masowych Pow. Dom Kultury w Rawiczu.

Nieocenioną pomocą reżyserską są powstałe niedawno w wielu regionach patronaty artystów zawodowych (aktorów, muzyków, śpiewaków, choreografów itp.) nad ruchem świetlicowym. Dodatni wynik kilkumiesięcznej ich działalności, szczególnie w zakresie rozsądnej i krytycznej selekcji doświadczeń teatru zawodowego, wykazały najbardziej udane przedstawienia eliminacyjne. Koncepcja patronatu, a więc opieki, lecz nie zastąpienia możliwości i ambicji reżyserskich działaczy ochotniczych, domaga się jak najbardziej szerokiego rozbudowania, a przede wszystkim objęcia jej zasięgiem wiejskich zespołów artystycznych.

Istotną cechą i walorem pracy teatru ochotniczego jest jej zespołowość. Poza nielicznymi przykładami zespołów zbiorczych, istniejących przy Pow. Domach Kultury czy PRZZ, przeważającą większość tworzą zespoły jednorodne poszczególnych zakładów pracy. W tym ostatnim przypadku warunkiem owocnej działalności zespołu jest poczucie odpowiedniego zaplecza w masie pracowników zakładu, poczucie zrozumienia walorów akcji kulturalnej, opieki i pomocy ze strony władz zakładowych i czynników społecznych.

Zainteresowanie przepełnionej widowni świadczyło o żywej więzi zespołów scenicznych z ogółem pracowników.

Eliminacje festiwalowe w Poznaniu odbyły się na scenach teatrów Nowego i Komedii Muzycznej. Publiczność w części została zaproszona przez ORZZ. Większość zespołów miała swych własnych widzów zakładowych i ich rodziny. Obserwowali oni przedstawienie z najwyższym napięciem, przeżywając je na równi z aktorami, pojmując jako wspólne dobro całego zakładu. Taki stan rzeczy świadczy o zdrowej atmosferze pracy kulturalnej i rokuje nadzieje dalszego jej rozwoju. Były jednak sytuacje krańcowo przeciwne.

Jaki jest stosunek czynników kierowniczych poszczególnych zakładów pracy do poczynań zespołów teatralnych? I tu można przeprowadzić równie wyraźny podział. Do najbardziej budujących pod tym względem należały przedstawienia, w których brali udział członkowie władz zakładowych. I tak w jednej roli widzieliśmy wicedyrektora dużej instytucji, w innych — kolejno kilku przewodniczących Rad Zakładowych. Nie trzeba dodawać, jak wzmacnia to pracę zespołu i pobudza go do aktywności.

Dalsze krytyczne uwagi, jakie nasunęły minione eliminacje, to niewystarczające jeszcze zainteresowanie zawodowego świata aktorskiego młodszymi kolegami „po masce". Przyjazd na eliminacje do wojewódzkiego miasta był dla wielu zespołów przeżyciem, które długo nie będzie zapomniane. Młody aktor, amator, oczekiwał oceny i porad najwyższego dlań autorytetu, jakim jest artysta, kreujący nierzadko tę samą rolę na scenie zawodowej. A również i aktorowi zawodowemu obserwacje rozwoju i osiągnięć talentów samorodnych, grających z reguły bez żadnego teoretycznego podkładu i tradycji wielkiego teatru, dałyby dużo do myślenia. Warto na przyszłość przy podobnych imprezach teatralnych pomyśleć o zbliżeniu obu artystycznych światów.

Ostatnia wreszcie garść uwag dotyczy repertuaru. Niezwykłe powodzenie „Wodewilu warszawskiego" świadczy o potrzebie programu rozrywkowego. Ta dziedzina repertuarowa prezentuje się u nas obecnie najsłabiej. Z kół teatralnych i literackich dochodzą wciąż krytyczne głosy o niedorozwoju nurtu twórczego lekkiej komedii i krótkich utworów komediowo - muzycznych, odpowiednich dla warunków amatorskich. Kwalifikująca repertuar świetlicowy komisja CRZZ powinna zdopingować środowiska twórcze jakimiś konkursami. Należało by pomyśleć również o selekcji i ewentualnej adaptacji materiału scenicznego z dawniejszych lat. Charakteryzuje, że wiele wiejskich zespołów teatralnych, pracujących w ramach ZSCh, na festiwalowe eliminacje przygotowało krótkie utwory Fredry, Bałuckiego itp.

Festiwal wykazał znaczne przesunięcia w kierunku repertuaru problemowego. Szczytowe osiągnięcia eliminacji, które posłużyły za ilustracje do powyższych uwag, należą do tej właśnie dziedziny. Tym niemniej ambicje inscenizacyjne wielu zespołów przekraczają niejednokrotnie ich możliwości realizacji. Wystawienie spektaklu kilkuaktowego, o dużej obsadzie wymaga nie tylko doświadczenia, lecz trudnego opanowania materiału pamięciowego i nawet wytrzymałości wręcz fizycznej. Nic więc dziwnego, że tak jedno jak drugie zawodziło w tych wypadkach, gdy zespół młody lub niedostatecznie zżyty i wpracowany wybrał z listy sztuk festiwalowych pozycje duże o partiach ciężkich nawet dla zawodowego aktora. Pamiętać trzeba, że ochotnicze zespoły aktorskie tworzą ludzie pracujący w najprzeróżniejszych zawodach, pracujący na ogół intensywnie i wydajnie, którzy teatrowi amatorskiemu poświęcają jedynie nieliczne wieczorowe godziny. Opieka nad teatrem świetlicowym winna zachęcać do wyboru takich sztuk, które pozwolą wytrzymać tempo do końca i dać ich pełne, pogłębione artystycznie opracowanie.

Podsumowanie wkładu pracy, oraz przedstawiona analiza osiągnięć, sukcesów i usterek wykazuje, w ostatecznym rozrachunku, że teatr ochotniczy z pozycji pionierskich przekształcił się w powszechne kulturalne zjawisko i stanowi dzisiaj ważki wkład rzesz pracowniczych w dzieło kultury ogólnonarodowej.

Literatura czy forma muzyczna

(Dokończenie ze str. 8)

WRÓĆMY teraz do mistrza Beethovena. Skąpe pochwały, oraz dość krytyczny wobec niego ton mistrza Kisielewskiego, tłumaczę sobie nie tyle brakiem uznania i miłości, bo to jest niemożliwe u szczerego muzyka, jakim niewątpliwie jest Kisielewski, ile duchem sprzeczności (esprit de contradiction) bardzo zdrową i nawet zbawienną chęcią przeciwstawienia się płytkim i wąskim sposobom odczuwania wielkiego, jednego z największych muzyków świata. Kisielewski na pewno, nawet w krytykowanych symfoniach nieparzystych, czuje i podziwia szczyty mistrzostwa wariacji, przedziwny smak, potężne kontrasty, siłę i subtelność, prostotę i logikę. Poza Bachem nie ma właściwie Beethovenrównego sobie pod tym względem. Ale nasuwa się pytanie w jaki sposób, właśnie po Bachu i Haendlu, po, do dziś niedocenionym, Haydnie i Mozarcie, którzy zdawałoby się, wyczerpali możliwości stylu klasycznego, Beethoven mógł jeszcze osiągnąć takie wyżyny. Formalistę i racjonalistę, jakim niewątpliwie w muzyce jest Kisielewski, pytanie to, choć by podświadomie, musi irytować. Rzeczywiście twórczość tamtych klasyków można z powodzeniem tłumaczyć powodami formalnymi, czysto absolutnymi, bo ani przed nimi, ani po nich nie było tak czystej, obiektywnej muzyki. Słuchając ich i zastanawiając się nad nimi, odnosi się wrażenie, że byli, jak mistycy całkowicie pogrążeni w świecie tonów, że ich świat zupełnie nie obchodził, że on pełnie pochłaniało ich łączenie dźwięków. Takie wrażenie, acz potężne, jest jednak tylko pozorne, ale o tym trzeba by napisać całą specjalną rozprawę, aby takie twierdzenie uzasadnić. Faktem jest jednak, że właściwi klasycy doskonale wypowiedzieli uczucia ówczesnego społeczeństwa. Nadchodziła epoka nowa, z nowymi problemami i przeżyciami. Nadchodził romantyzm, ze swym mistycyzmem, przewrotami, irracjonalizmem, wybuchowością, wstrząsami. Beethoven był czułym duchem, który odczuwał wszystkie bolączki swych czasów, często nieświadomie, ale nie mniej żywo. Był pełnym człowiekiem, w dzisiejszym, znaczeniu tego słowa, a w dodatku ciężko doświadczonym. Spadkobierca minionej epoki, a poprzednik i zwiastun epoki rewolucyjnej. Cudownie, niezrównanie wyraził to swoją muzyką, klasyczna w formie, a romantyczną w treści.

Tu muszę przeprosić. p. Kisielewskiego, że odróżniam treść od formy. Nawet u Bacha podejmuję się wyśledzić treść literacką, nawet u Haendla i Mozarta, bez zaprzeczenia ich formie. I u człowieka odróżniamy duszę i ciało, choć jest on jednością niepodzielną. Tak samo dzieło muzyczne ma swą duszę, właśnie ową treść literacką, która się wyraża w formie, z którą tworzy niepodzielną całość. A przeżycia Beethovena, może nieporadnie i zbyt sentymentalnie oddane przez Hulewicza, na pewno fałszywie przedstawione przez Romain Rollanda, są jednak zbyt potężne, by je można było tłumaczyć tylko sama forma. Za dużo w nim potęgi i bohaterstwa, za dużo wspaniałości i siły natchnienia, subtelności i paradoksu, by go tłumaczyć tak powierzchownie. Muzyka tu nie wystarcza. Musi zabrać głos i literatura. W Beethovenie po raz pierwszy w dziejach muzyki podnosi głowę *bunt*, odzywa się wielkim głosem niepokój wewnętrzny, daje się odczuć zamieszanie i dążność do wyzwolenia, a więc momenty zgoła prometejskie, nie muzyczne, ale raczej właśnie literackie. Rzadko, a przynajmniej nie wyłącznie, panuje w jego muzyce dotychczasowa urocza sielanka Haydna, błogostan, urok nadziemski i anielskie trele Mozarta. Bardzo często, a nawet z reguły słyszymy u Beethovena zbuntowanego, skarżącego się, cierpiącego człowieka, który może rezygnuje, ale nie łatwo i nie od razu. Z tych powodów w muzyce Beethovena nie możemy się obejść bez literatury, jakkolwiek jest ona irytująca dla muzykologa, który nie chce dostrzegać całego tekstu, całości życia duchowego wielkiego człowieka, a wszystko chciał by widzieć tylko w znakach na nutowym papierze. Beethoven jest wielkim, niedoścignionym muzykiem, jest szczytem doskonałości formy, wyrazu, prostoty i potęgi. Należy on niewątpliwie do muzykologów. Ale nie tylko do nich. Należy on jeszcze i do całej ludzkości. w pełnym znaczeniu tego słowa, do ludzi żywych, czujących, cierpiących i radujących się życiem, buntujących się i poddających woli Bożej. I ludzkość, przemawiająca głosem literatury, nie pozwoli go sobie łatwo muzykologom wyrwać.

Z. Jakimiak

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak Konstanty Łubieński Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71,880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 1,80 złotych Kwartalnie 5,40 złotych.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa. Tamka 3. Zam. 1416. 3-B-18719.